W numerze: Kuluary • Zyski z krajobrazu • Greta Garbo–legenda–rzeczywistość • Narcyz • Harmonia małżeńska • Wyjec • Felietony • Recenzje • Polonica

odgłosu

TYGODNIK

ROK VIII

Nr 17 (393)
2. V. 1965
10 stron
Cena 1 zł

Fot. WAF

ILJA ERENBURG

PRZEŁOŻYŁ: KAZIMIERZ BŁESZYŃSKI

O POLAKACH

W październiku 1947 roku Fadiejew mi powiedział, że trzeba będzie pojechać do Polski, dokąd w delegacji wysłani zostają pisarze: Twardowski, Tyczyna, Browka i Erenburg. Po czym Fadiejew zaczął zaraz dawać mi wskazówki, lecz nagle się roześmiał: „Przecież sami to wiecie, bo pół życia swego spędziliście za granicą". Pomyślałem sobie: mieszkać w jakimś kraju to co innego, a co innego jechać doń w delegacji.

W pociągu znalazłem się w przedziale razem z P. G. Tyczyną, który był wówczas ministrem oświaty Ukraińskiej Republiki Ludowej. Certowaliśmy się z nim długo, jakie miejsca mamy zająć, każdy z nas bowiem miał chęć dostać się na górną półkę. Urodziliśmy się obydwaj nie tylko tego samego roku, ale w tym samym miesiacu i dniu. Ja utrzymywałem, że Tyczyna powinien zająć dobre miejsce, bo jest ministrem, on zaś na to się nie zgadzał. Wyszedłem na korytarz i zacząłem rozmawiać z Twardowskim; Tyczyna skorzystał z tego i wróciwszy do przedziału zastałem go już leżącego na górnej półce. Pogadaliśmy z sobą po przyjacielsku i zgasili światło. A gdym już zasypiał, on powiedział: „Z pewnością da to powód do omyłki". Ja zaś, choć urodziłem się w Kijowie, dzieciństwo i lata młodzieńcze spędziłem w Moskwie i dlatego nie znam właściwego znaczenia wielu słów ukraińskich. „Omyłka" — jak mi to później wytłumaczono — znaczy „błąd", lecz wtedy w półśnie wydało mi sie, że Tyczyna mówi, iż nam zmydla, czyli za coś tam zmyją głowę: był to wtedy mój drugi wyjazd za granicę w składzie delegacji, wiec i mnie też sie różne obawy nasuwały.

Gdyśmy przyjechali na miejsce, powitał nas na peronie uśmiech Tuwima — uspokoiłem sie natychmiast. Polacy nas przyjęli z całą serdecznością. Inną zobaczyłem Polskę niż ta, którą widziałem przed dwudziestu laty za czasów sanacji. Wówczas nie tylko władza w Polsce, lecz nawet i poniektórzy pisarze polscy rozmawiali ze mną z dużą rezerwą i jakby mając się na baczności.

Oczywiście, że Polska bardzo się zmieniła, ale zarazem wiele rzeczy w niej poznawałem: charakter narodu się nie zmienia — zmienia się jego życie. W roku 1947 widziałem Polskę w gruzach; nie poznawałem ulic warszawskich, ludzi wszelako poznawałem. Z tych, których znałem dawniej, wielu już nie było: poginęli i ci, którzy byli głośni, i ci, o których wiedzieli tylko ich przyjaciele. W 1928 roku zawarłem znajomość z Boyem-Żeleńskim. Cały wieczór spędziliśmy wtedy razem z sobą dyskutując i spierając się o Prousta, o Montaigne'a... Boy dużo więcej ode mnie wiedział i mówił z pasją, z namiętnością, czasami złośliwie, ale też i z ową miłością do sztuki, która w dyskusji wytrąca broń z ręki przeciwnika. Boy miał lat 67, gdy rozstrzelały go we Lwowie zbiry faszystowskie. A w latach trzydziestych spotykałem w Paryżu na bulwarze Montparnasse młodziutkiego polskiego architekta Seniora, który marzył o tym, aby coś wybudować, ubóstwiał

Dalszy ciąg na str. 3

IZYDOR HAŁAS

KARTKI Z PRZESZŁOŚCI

75 lat temu — 1 Maja 1890 r. robotnicy wielu krajów świata manifestacyjnie wyszli na ulice miast i osiedli fabrycznych zademonstrować wolę walki o wspólne robotnicze cele. Ożywienie ruchu robotniczego związane było z uchwałą podjętą w lipcu 1889 r. na odbywającym się w Paryżu I Kongresie II Międzynarodówki. Kongres wzywał partie socjalistyczne do organizowania w oznaczonym dniu wielkich, międzynarodowych manifestacji głównie w celu podjęcia walki o wprowadzenie 8-godzinnego dnia pracy.

Wybór 1 maja jako dnia święta robotniczego wiązał się z wyznaczeniem przez Amerykańską Federację Pracy na ten dzień wielkiej manifestacji dla upamiętnienia rocznicy zmasakrowania przez policję w 1886 r. robotniczej demonstracji w Chicago.

Proletariat Warszawy odpowiedział w 1890 r. na wezwanie Kongresu Paryskiego strajkiem politycznym.

Przebieg pierwszego święta majowego przeszedł tu wszelkie oczekiwania. Wiele zakładów zostało unieruchomionych, w innych nie wszyscy stawili się do pracy. Głębokie korzenie zapuściła idea proletariackiej solidarności!

Łódź należała do rzędu tych miast, w których kapitalizm panował w szczególnie brutalny sposób. Nie brakowało tu przysłowiowej beczki prochu. Jednak 1 maja 1890 r. robotnicy Łodzi nie dali o sobie znać. Zawrzało tu dopiero w następnym roku.

Władze carskie uspokojone milczeniem w 1890 r. sądziły, że w Łodzi w dniu 1 maja 1891 r. nie dojdzie do żadnych zaburzeń.

Tymczasem z urzędowych raportów dowiadujemy się, że „miejscowi agitatorzy nie pomijają nadarzającej się okazji do pobudzania robotników ku nieporządkom".

Wzrastająca na sile akcja przygotowawcza wywołała w ostatnich dniach zaniepokojenie władz. 28 kwietnia gubernator piotrkowski w ściśle tajnym rozkazie nakazuje szukanie odezw, a w koniecznych przypadkach poleca energiczne działanie policji. W jeszcze większym stopniu zaniepokojeni byli łódzcy fabrykanci. Poznański w przeddzień 1 maja, uprzedził policmajstra m. Łodzi o mogących wybuchnąć w jego fabryce zamieszkach.

Już od rana robotnicy Poznańskiego zaczęli zbierać się przed fabryką. Zapewnieni, że fabrykant przeprowadzi z nimi w południe rozmowę, spokojnie przystąpili do pracy. Zmiana nastrojów nastąpiła w czasie przerwy obiadowej. Krótko przed godziną 13 grupa młodych robotników podeszła do bramy fabryki oświadczając, że nie przepuszczą nikogo do pracy, a kiedy zjawił się syn Poznańskiego, Ignacy, przedstawili mu żądania zgodne w pełni z programem rozpowszechnianych odezw: podwyższenie płacy i skrócenie godzin pracy.

W rezultacie wydarzeń 1 Maja 1891 fabrykanci Poznański i Kunitzer zmuszeni byli podnieść płace robocze do poziomu płac jakie otrzymywali robotnicy innych fabryk w Łodzi.

Święto majowe w 1892 r. znane w historii jako słynny „bunt łódzki" przekształciło sie w sześciodniowy strajk powszechny 70.000 robotników nie tylko Łodzi, ale i okolicznych miast przemysłowych. Carat wprowadził w Łodzi stan wojenny. Padły setki ofiar — byli zabici i ranni.

Bojowe wystąpienie proletariatu łódzkiego w 1892 r. odznaczające się niebywałym napięciem i zasięgiem zapoczątkowało w dziejach polskiej klasy robotniczej nowy okres walki z rodzimym kapitałem i uciskiem carskim.

1 Maja 1905 r. przebiegał w ogniu rewolucyjnych zmagań klasy robotniczej z caratem i ze sprzymierzonymi z nim polskimi klasami posiadającymi.

Przygotowania do obchodów święta rozpoczęto w kwietniu. Łódzka organizacja SDKPiL rozpowszechniała odezwy i ulotki mobilizując klasę robotniczą do manifestacji. 25. IV. pojawiła się w Łodzi ulotka ZG SDKPiL „Na dzień 1 Maja". Głosiła ona m. in. „... Piętnaście już razy polski lud roboczy stawał na hasło majowe. Piętnaście już razy demonstrowaliśmy:

— o ośmiogodzinny dzień roboczy
— o wolność polityczną w całej Rosji
— o wyzwolenie robotników spod jarzma kapitału na całym świecie..."

W Warszawie 1 maja ustał ruch kołowy. Nikt nie spieszył do pracy. Tłumy odświętnie ubranych robotników i ich rodzin wyległy na ulice. Od kul piechoty i policji padło ponad 50 demonstrantów, zaś ponad 100 odniosło ciężkie rany.

W Łodzi od wczesnego ranka wystąpiły oznaki zapowiadające dążenie robotników do świętowania dorocznego święta robotniczego i urządzenia antyrządowych demonstracji. Doszło do krwawych ofiar.

Mimo wysiłków partii nie udało sie zorganizować strajku powszechnego. Władze obsadziły ważniejsze fabryki wojskiem. W tych warunkach z ogólnej liczby 62.444 robotników fabrycznych nie stawiło się w ogóle do pracy 19.556 osób.

Miejscowa organizacja SDKPiL, aby uniknąć krwawych skutków demonstracji postanowiła urządzać je na przestrzeni całego dnia i w różnych punktach miasta. Takich demonstracji odbyło się 27. Demonstracje przedpołudniowe miały przebieg spokojny. Sytuacja zmieniła się w godzinach popołudniowych. O godz. 16 na ul. Wschodniej demonstranci uformowali pochód i przeszli ulicami Południową i Kamienną w kierunku Kilińskiego. Okrzyki, śpiewy i wiwaty ściągnęły na demonstrantów uwagę policji. Piechota i kozacy zaatakowali demonstrantów. Zginęły dwie osoby.

Nieco później, około godz. 17 spora grupa robotników demonstrowała w obrębie Wodnego Rynku, ulic: Głównej, Targowej, Nawrot i Kilińskiego. Nad pochodem powiewał czerwony sztandar. O godzinie 19 zjawili się kozacy, bijąc i tratując demonstrantów. Ci ostatni powpędzani w boczne ulice ponownie, o godz. 20 opanowali rynek i zwartą grupą przeciągnęli sąsiednimi ulicami, śpiewając „Czerwony Sztandar" i „Warszawiankę".

W walkach z policją i wojskiem zginęło 1 maja w Łodzi 6 osób a kilkadziesiąt odniosło rany. Również policja poniosła dotkliwe straty.

Wystąpienia pierwszomajowe Warszawy i Łodzi uzyskały uznanie i poparcie proletariatu rosyjskiego. III Zjazd SDPRR wyraził swoje oburzenie z powodu nowych mordów zorganizowanych przez rząd w Warszawie i Łodzi, z uznaniem witał męstwo i zdecydowaną postawę bratniego proletariatu Polski.

Na dzień 15 maja Komitet Łódzki SDKPiL ogłosił strajk powszechny na znak protestu przeciw wypadkom 1-majowym w Warszawie i Łodzi. Wystąpienie stało się wspaniałą manifestacją solidarności klasy robotniczej, punktem wyjścia potężnej fali strajków ekonomicznych, które trwały do połowy czerwca. Napiecie walki nie wygasło, odwrotnie strajki ekonomiczne przerosły z kolei w potężne strajki polityczne 20 i 21 czerwca a te w powstanie zbrojne 22—24 czerwca 1905, stanowiące kulminacyjny punkt rewolucji 1905—1907 roku w Łodzi.

ŚWIATA

W ubiegłym tygodniu minęło pierwsze sto dni od inauguracji prezydentury Johnsona. Tradycyjnie już — od czasów Roosevelta — jest to dla prasy amerykańskiej okazja do dokonywania bilansu nowej administracji, a przede wszystkim konfrontowania przedwyborczych obietnic z realiami stu dni.

Dla polskiego Czytelnika, przyzwyczajonego już, że program wyborczy po dniu głosowania nie wędruje do kosza, ale jest wytyczną działania na cały okres kadencji — porównanie przedwyborczych haseł Johnsona i jego partii z praktyką dnia dzisiejszego jest z pewnością szokujące. Partie burżuazyjne traktują to jednak jako rzecz normalną, więcej nawet — głoszą, że hasła i późniejszy program działania nie muszą być wcale zbieżne. Nic więc dziwnego, że prasa amerykańska podsumowywała sto dni nowej administracji ze stoickim spokojem, kładąc szczególny akcent na osiągnięcia w polityce wewnętrznej, a nie zagranicznej. My jednak zajmiemy się właśnie tą ostatnią.

„Nadzieje — pisze red. H. Zwiren w korespondencji z Waszyngtonu — jakie świat łączył z pokojowymi wypowiedziami Johnsona w kampanii przedwyborczej oraz z jego pragmatyzmem, zawiodły". Ulegając podszeptom wojowniczych doradców, jakoby w Wietnamie Południowym „ważyły się losy wolnego świata" postawił on na stawkę militarną. Stracił w ten sposób w dużym stopniu swobodę manewrowania, którą z pewnym powodzeniem posługuje się w sprawach wewnętrznych.

Polityka siły nie przyniosła pożądanych rezultatów, wręcz odwrotnie — utrudniła znacznie sytuację Stanów Zjednoczonych. Jej bezpośrednimi następstwami, by wymienić je w skrócie telegraficznym, są: zamrożenie postępu w stosunkach Wschód — Zachód, oddalenie perspektywy skutecznych rozmów na temat rozbrojenia, pogłębienie, i bez tego kłopotliwych dla USA, rozbieżności wśród sojuszników, spotęgowanie nastrojów antyamerykańskich w różnych częściach świata, a przede wszystkim w Azji i Afryce, i wreszcie odtrącenie od Johnsona wielu liberalnych i bardziej umiarkowanych zwolenników.

W tym bilansie są więc same negatywy. I dlatego, sumując sto dni Johnsona, tak pobieżnie potraktowano tę część w prasie amerykańskiej.

Jeśli mówimy już o Stanach Zjednoczonych, warto zwrócić uwagę Czytelników na to, że w ostatnich dniach Waszyngton stał się Mekką polityków zachodnioeuropejskich. Po pobycie premiera W. Brytanii — Wilsona i nadburmistrza zachodniego Berlina — Brandta, z oficjalną wizytą przebywał tam również premier Włoch — Aldo Moro. Zgotowano mu uroczyste przyjęcie, a prezydent Johnson w jednym z przemówień podkreślił, że z wszystkich stolic najchętniej odwiedzi właśnie Rzym. Wszystko chyba dlatego, że po próbach manewrowania Moro ostatecznie „wyraził całkowite zrozumienie dla pozycji i odpowiedzialności Stanów Zjednoczonych w Wietnamie".

Nawiązując do tych słów końcowego komunikatu rzymski „Paese Sera" pisze:

„Premier niewątpliwie ponosi odpowiedzialność za to, że stał się pierwszym leaderem kraju atlantyckiego, który zaaprobował linię amerykańską, zmierzającą do zwiększenia napięcia, pierwszym i prawdopodobnie ostatnim. A także za to, że nie chciał, odcinając się od polityki USA, wnieść swego wkładu do wysiłków podejmowanych przez Wschód i Zachód celem otwarcia drogi rokowań".

Kto wie, czy Moro korzystając z rozprężenia w bloku atlantyckim nie chce wysunąć się na pozycję jednego z najbliższych sojuszników USA? Szanse wprawdzie żadne, ale widać Moro nie rezygnuje z „włoskiej pieczeni". Cena wysoka i może obecny rząd wiele kosztować.

Z problemem wietnamskim wiąże się również jedna z większych sensacji politycznych na Zachodzie — decyzja Francji wysłania na londyńską sesję SEATO, która odbędzie się w dniach 3–5 maja nie ministra spraw zagranicznych, ale jedynie... obserwatora.

W oficjalnym wyjaśnieniu podano: krok ten podyktowany jest tym, że końcowy komunikat z poprzedniej sesji „w najmniejszym nawet stopniu nie odzwierciedlał stanowiska rządu francuskiego". Praktycznie: Francja raz jeszcze chce odciąć się od amerykańskiej polityki wobec Wietnamu.

Komentatorzy, choć nie przewidują, iż nastąpi to wkrótce, traktują tę decyzję jako kres współpracy Francji z SEATO i pierwszy jej krok do wycofania się z tego sojuszu.

Aktualnie Francja zwraca także uwagę i z innego powodu: wizyty ministra spraw zagranicznych ZSRR — Gromyki. Podkreśla się, że pobyt radzieckiego ministra będzie nadspodziewanie długi (tydzień) i że Gromyko przyjęty zostanie przez prezydenta de Gaulle'a.

W toku zapoczątkowanych w niedzielę rozmów dokonuje się z pewnością szerokiego przeglądu wydarzeń międzynarodowych, ze szczególnym uwzględnieniem istniejących zbieżności wobec niektórych aktualnych problemów. Tematyka rozmów jest więc rozległa — od zagadnień europejskich do południowo-wschodnio-azjatyckich. Będzie w nich na pewno miejsce również na omówienie stosunków bilateralnych.

Oczywiście, najbardziej załamują ręce komentatorzy zachodnioniemieccy. Charakterystyczna pod tym względem jest wypowiedź „Neue Rhein-Ruhr Zeitung", którą we fragmencie cytuję:

„Stało się tak, jak stać się musiało: flirt prezydenta de Gaulle'a z Moskwą staje się bardziej intensywny, a stosunek Bonn do Paryża coraz chłodniejszy".

Z dużym niepokojem w tej sytuacji przyjęto także sugestię do Gaulle'a, aby określone traktatem francusko-niemieckim rozmowy Bonn — Paryż w tym roku przyśpieszyć, ustalając ich termin na połowę czerwca.

W. SŁAWSKI

Kronika tygodnia

NIEDZIELA, 18 KWIETNIA

■ Przywódca demokratów w Senacie amerykańskim Mansfield ostrzegł w przemówieniu inicjującym debatę, że jeśli w krótkim czasie nie zostanie znalezione pokojowe rozwiązanie konfliktu wietnamskiego może dojść do generalnej wojny w Azji. Mansfield wezwał rząd USA do poparcia radzieckiej propozycji zwołania konferencji w sprawie Kambodży, jako pierwszego kroku w kierunku przywrócenia pokoju w Wietnamie.

„Wolałbym, ażeby nigdy nie wynaleziono telewizji. Telewidzowie uważają, że nie wyglądam jak człowiek."

SIR ALEC DOUGLAS HOME

■ Według opinii eksperta duńskiego ChRL może dogonić w zakresie przemysłu elektronicznego kraje zachodnie w ciągu 5–10 lat.

■ Kairski tygodnik „Al Mussawar" pisze, że wielu egipskich pilotów przygotowywanych jest obecnie do lotów kosmicznych.

PONIEDZIAŁEK, 19 KWIETNIA

■ Senator Morse: Możemy ugrzęznąć w wojnie w Azji na okres 10, 20 czy 25 lat i mimo to nie odniesiemy zwycięstwa.

■ Oddziały amerykańskie w Niemczech zachodnich otrzymały polecenie, aby nie obchodzić dwudziestej rocznicy zwycięstwa nad III Rzeszą, gdyż — jak pisze U.S. News and World Report — „mogłoby to urazić naszych niemieckich sojuszników".

■ W ciągu najbliższych dwóch lat 119 wielkich zakładów przemysłowych w Związku Radzieckim objętych zostanie systemem automatycznego zarządzania produkcją z zastosowaniem elektronowych maszyn liczących.

■ Uniwersytet algierski nadał marszałkowi Tito dyplom doktora honoris causa.

WTOREK, 20 KWIETNIA

■ Prokurator generalny stanu Kalifornia przedłożył Kongresowi Stanowemu projekt ustawy przewidującej likwidację prywatnych paramilitarnych organizacji na terenie tego stanu. W uzasadnieniu tego wniosku prokurator wskazał, że działalność tych organizacji „zagraża pokojowi i bezpieczeństwu Kalifornii, gdyż ustawicznie knują one zbrojne spiski, a działalność ich graniczy po prostu z buntem".

■ Były minister spraw zagranicznych W. Brytanii Gordon Walker: „Mam jakiś obraz co do ewentualnego rozwiązania problemu wietnamskiego, ale nie ujawnię go".

ŚRODA, 21 KWIETNIA

■ AFP o decyzji rządu Francji wysłania na konferencję ministrów państw SEATO obserwatora. „Francja w dalszym ciągu dąży do pokojowego i negocjonowanego rozwiązania problemów Wietnamu i Indochin jako całości, w oparciu o układy genewskie z 1954 roku... Zdaniem rządu francuskiego SEATO jest jednak tylko instrumentem polityki amerykańskiej, która jest całkowicie sprzeczna z polityką Francji w tym rejonie".

■ Bońskie źródła prasowe podają, że mocarstwa zachodnie wypowiedziały ostatnio wobec rządu NRF zastrzeżenia w sprawie zwołania w Berlinie zachodnim posiedzenia Bundesratu, tak jak planują to władze zachodnioniemieckie. Zwraca się przy tym uwagę, że przede wszystkim Francja oponuje przeciwko akcji Bonn w Berlinie zachodnim.

■ Agencje zachodnie donoszą, iż w Stanach Zjednoczonych zakończyła się czterodniowa konferencja założycielska nowej partii komunistycznej USA. Jak podaje AFP organizacja ta przybrała nazwę „Postępowej Partii Pracujących".

CZWARTEK, 22 KWIETNIA

■ „Rinascita": „Nie ma nic bardziej zabawnego niż fakt, że ONZ przygotowując się do obchodów swego XX-lecia ogłosiła rok 1965 rokiem międzynarodowej współpracy... Po wystąpieniu Indonezji, uroczysta sesja w San Francisco będzie stanowiła punkt zwrotny w kierunku reaktywizacji albo rozpadu ONZ".

■ Delegacje wyznawców Islamu z krajów socjalistycznych przeciągają przez Kair w drodze do Mekki, gdzie trwa obecnie okres dorocznych pielgrzymek. Grupie pielgrzymów radzieckich przewodniczy Mufti Mohammed Kurbanow, szef północnokaukaskiego muzułmańskiego zarządu wyznaniowego.

PIĄTEK, 23 KWIETNIA

■ „Figaro" publikuje artykuł pt. „Chore przyjaźnie", w którym czytamy — „Przyjaźń francusko-amerykańska — jeśli jeszcze nie umarła, jest obecnie umierająca. Przyjaźń francusko-niemiecka również pozostawia wiele do życzenia. Nie jest może tak poważnie chora, lecz można powiedzieć, że nie jest z nią dobrze".

■ Członek Biura Politycznego KC KPCh Peng Czen: „Naród chiński gotów jest powziąć wyjątkowe kroki dla zmuszenia agresora amerykańskiego do wycofania się z Wietnamu".

„Jeśli wróg jest niebezpieczny trzeba go całować w oba policzki."

ACHMED SUKARNO

■ Raul Castro — minister sił zbrojnych i wicepremier Kuby: „Nasza partia uważa, że imperializm północnoamerykański nie jest „papierowym tygrysem". Szanujemy wszystkie poglądy, ale mamy prawo z całym szacunkiem wyrazić nasz własny".

■ Amerykańskie związki zawodowe wyrażają zaniepokojenie z powodu skutków, jakimi grozi wprowadzenie automatyzacji do gospodarki amerykańskiej. Jak wynika z danych statystycznych, automatyzacja powoduje, że 35 tysięcy osób tygodniowo, lub też około 1,8 miliona osób rocznie traci w USA pracę.

(„Izwiestia").

■ W związku z propozycją Johnsona przesunięcia wizyty premiera Indii Shastri z czerwca na jesień br. minister spraw zagranicznych Indii zakomunikował, że w odpowiedzi na tę propozycję premier w ogóle odwołał swą wizytę w USA. Sugestia Johnsona wywołała oburzenie całej opinii publicznej Indii. Nawet najbardziej prozachodnie dzienniki zareagowały ostro, nie cofając się przed takimi określeniami jak: „zwykłe dla ludzi z Texasu brutalne maniery" i określając sprawę jako „policzek dla Indii".

SOBOTA, 24 KWIETNIA

■ Przemawiając na wielkim wiecu z okazji dziesiątej rocznicy Bandungu prezydent Indonezji Sukarno oznajmił swój zamiar zwołania w przyszłym roku do Djakarty konferencji „nowych sił". Niektórzy obserwatorzy polityczni sądzą, że konferencja ta miałaby się stać forum trzeciego świata i rywalizować z ONZ.

■ Roger Garaudy: „Ateizm jest nieodzowny, by to, co wnosi chrześcijaństwo, uzyskało pełny sens".

■ Historyk radziecki Konstanty Tierechin polemizuje z twierdzeniami autorów zachodnich utrzymujących, iż ZSRR zwyciężył w drugiej wojnie światowej jedynie dzięki dostawie sprzętu i materiałów ze strony sojuszników zachodnich. Radziecki historyk przypomniał, że dostawy amerykańskie stanowiły jedynie około 4 proc. środków materiałowych, które ZSRR zużył w czasie wojny.

■ Jak wynika z poufnego raportu amerykańskiego uczonego Williama Drummonda Związek Radziecki wyprzedził USA o 10 lat w badaniach nad kontrolowaną reakcją termojądrową.

POLONICA

POLSKI NUMER „WORT IN DER ZEIT"

Kwietniowy numer wiedeńskiego miesięcznika „Wort in der Zeit", został poświęcony w całości współczesnej literaturze polskiej. Numer ukazał się przy współpracy redakcji naszego miesięcznika „Twórczość", która wkrótce poświęci swoje łamy literaturze austriackiej. W polskim miesięczniku „Wort in der Zeit" znajdujemy między innymi: artykuł A. Kijowskiego o współczesnej prozie polskiej, fragment z „Listów do pani Z." K. Brandysa, artykuły L. Kołakowskiego, J. Kotta, R. Karsta i W. Natansona, prozę J. Iwaszkiewicza, Sławomira Mrożka, E. Stachury, myśli nieuczesane S. J. Leca oraz wiersze Przybosia, Ważyka, Bieńkowskiego, Karpowicza, Białoszewskiego, Różewicza, Herberta i Szymborskiej. Numer zamykają recenzje z polskich książek i notatki o autorach.

KONGRES TEATRALNY

W dniach 23–24 marca br. odbyło się w Wiedniu międzynarodowe spotkanie, poświęcone sprawom teatralnym. Temat rozmów: „Teatr współczesny — współczesność teatru". Z Polski w spotkaniu tym wzięli udział: Erwin Axer, Jan Kott i Adam Tarn. W dzienniku zuryskim „Neue Zürcher Zeitung" przedrukowano kilka głosów z dyskusji, między innymi wypowiedź Jana Kotta i Adama Tarna. Obydwaj mówcy stoją na stanowisku obrony teatru awangardowego i trzeba powiedzieć, że na tle innych głosów, głosy polskie wyróżniają się zdecydowanie. Zwłaszcza wypowiedź Jana Kotta zaleca się błyskotliwą formą i oryginalnością sformułowań.

ZBIGNIEW HERBERT PO NIEMIECKU

Po wydaniu zbioru wierszy, ukazał się obecnie we Frankfurcie nad Menem, nakładem znanej firmy Suhrkamp Verlag, tom esejów Zbigniewa Herberta „Ein Barbar in einem Garten" (Barbarzyńca w ogrodzie) w przekładzie zasłużonego tłumacza literatury polskiej Waltera Tiela. Książka wydana została bardzo estetycznie w specjalnej serii pn. „Edition Suhrkamp", która prezentuje wybrane nowości z literatury europejskiej. Pierwsze recenzje, które pojawiły się o książce Herberta, są bardzo pochlebne. Nie dziwimy się wcale. Nam książka ta również bardzo się podoba. Mówiąc nawiasem, jej polski nakład dawno już został wyczerpany i pora, by zbiór esejów Herberta wznowić. Czytelników i nabywców tej książki nie zabraknie.

POLONICA

O POLAKACH

Dalszy ciąg ze str. 1

Le Corbusiera i biedował. Gdy matka przysyłała mu z Polski to, co on nazywał „paczką", to częstował i raczył nas polędwicą i jarzębiakiem. W lecie 1939 roku pojechał do domu, aby walczyć z hitlerowcami i w jakiejś bitwie zginął.

Poznałem wówczas wielu młodych pisarzy i artystów, setki ludzi przeróżnych zawodów. A po roku znowu zobaczyłem Polskę na zjeździe we Wrocławiu, w latach zaś następnych często bywałem w Warszawie; a choć łączyło się to zawsze z jakimiś kongresami, konferencjami, komisjami i rezolucjami, to jednak jakoś znajdowałem chwilkę i dla moich dawnych i nowych przyjaciół. Zakochiwałem się wtedy coraz bardziej w charakterze polskim, toteż rozdział niniejszy z pewnością będzie przypominać raczej liryczne oświadczyny, niż opowiadanie o kraju i ludziach.

Przez długie lata dzieliła Rosjan od Polaków jakaś głęboka przepaść — pamięć o najściach, napadach, rozbiorach, o krwi powstańców. Nauczyciele historii w szkołach mówili nam, że każdy w ogóle Polak jest chełpliwy jak szlachcic i że Polska zginęła przez to, iż każdy pan w sejmie wrzeszczał „nie pozwalam" i „veto" zakładał przeciw prawu. Jeden z mistrzów młodości mojej — Dostojewski, kazał w swych powieściach występować Polakom tylko skarykaturowanym. Ja sam nie znałem Polski i w głębi duszy miałem tajone do niej uprzedzenie. Pamiętam też, jak mnie zdumiała namiętność, z jaką Tuwim mówił o charakterze polskim, kiedy się z Tuwimem pierwszy raz spotkałem. A potem usłyszałem od Babela, że „Polacy to naród poetycki"... Polaków zaś Babel widział w czasie wojny, kiedy walczyli oni z Radziecką Rosją. Zastanowiło mnie to, ale dopiero w roku 1928, bawiąc w Polsce, to i owo z tego zrozumiałem.

Wartości ludzkie — radość pracy i walki, miłość, sztukę — poznaje się świadomie nie z lekcji w szkole i nie z książek, lecz z doświadczenia życiowego. A są też i takie wartości, które zaczyna się rozumieć, gdy się człowiek znajdzie w niedostatku, w biedzie i w rozłące ze swoimi. Co to jest chleb, zrozumiałem w Paryżu, gdym nic kilka dni nie jadł, a z piekarni mnie zalatywał przedziwny zapach. Czym jest łyk wody, zrozumiałem na wojnie w górach Aragońskich. Pisałem też, że całe znaczenie ojczyzny uświadamiamy sobie będąc od niej z dala. U Polaków wyczulony patriotyzm łączy się z ich historią: przeżywali oni albo słyszeli z ust swoich rodziców o długich dziejach poniewieranej i deptanej godności narodowej.

Opowiadałem już, jak Tuwim brnąc ze mną po gruzach Warszawy powtarzał: „Patrz, jakie to piękne!"... Może nie wszyscy Polacy to mówili, ale myśleli wszyscy. Stare Miasto odbudowano w Warszawie z taką miłością każdego szczegółu, iż się tam zapomina, że to odbudowa. Nie chodzi o gust jedynie, lecz o tę polską pasję i namiętność.

Ta pasja i namiętność pociąga mnie w Polakach — leży ona w ich charakterze narodowym, wyraziła się w starej rzeźbie Wita Stwosza i w poezji polskiej — od Mickiewicza i Słowackiego do Gałczyńskiego i Tuwima — w polskich pieśniach ludowych i w długiej opowieści o niefortunnych powstaniach — o Dąbrowskim, o którym opowiadał mi kiedyś stary uczestnik Komuny Paryskiej... Wystarczy i warto spojrzeć w oczy pierwszemu lepszemu wąsalowi emerytowi, co się przechadza po tym poważnym, przedziwnym mieście Krakowie, albo usłyszeć na zaniedbanej głuchej wsi polskiej okrzyk młodziutkiej dziewczyneczki z białym warkoczykiem i śmiechem do łez podobnym, aby tam wciąż i wszędzie wirzeć nadmiar uczucia, i ten tak dziwaczny kłębek i splot przeznaczeń.

Czytałem bardzo wiele nader surowych ocen stylu barokowego — ogrom jego niespodziewanych zestawień, a czasem i niezrozumiałość zdawały się być dziwactwem, formalizmem i nieszczerością, pogardą prostoty. A tymczasem barok, zrodzony w epoce, kiedy arystokracja była już na schyłku, trafił narodom do przekonania. Jest coś wspólnego między poezją Gongory, Marina, Gryphiusa a tymi Chrystusami z gliny, których lepią garncarze polscy, zapominając o rozmiarach głów lub rąk, lecz pamiętając o ogromie cierpienia ludzkiego. „Tu pochowane jest serce Szopena" — cudzoziemca to dziwi, ale i to też leży w charakterze Polski.

W 1947 roku rząd polski ofiarował nam, czterem pisarzom radzieckim, rozmaite przedmioty produkcji ludowej. Mnie dostał się dywan zrobiony przez Gałkowskich w Krakowie ze ścinków materii. I oto już lat piętnaście dywan ten dodaje mi otuchy w trudnych chwilach życia. Spoglądam na zwierzęta, których w rzeczywistości nie ma i nigdy nie było, ale które żyją, swawolą, ryczą i drzemią u mnie w pokoju — patrzę na dziewczęta, na cudacznych rycerzy — i widzę w tym nie tylko zespół odcieni, tonów i półtonów, lecz i potęgę artyzmu.

Polska łączy się dla mnie nierozdzielnie z artyzmem, ze sztuką, z prawdziwością przesady, i siłą wyobraźni, zdolną przekształcać bodajby najpospolitszą chałupinę w kosmos. Ciężki to był w roku 1947 okres dla poetów lub malarzy. Ale i wtedy widziałem w Polsce wiele płócien świadczących o tym, że sztuka wciąż żyje. A czy o następnym dziesięcioleciu trzeba mówić? Niektóre filmy polskie obiegły świat cały. Zaczęto przekładać też na obce języki prozę polską. Pamiętam, jak czytywałem notatki z podróży Kazimierza Brandysa; opowiedział on o tym, co czuł jedząc śniadanie w miłym i czystym hoteliku zachodnioniemieckim — ja w tym jego opisie znalazłem artystyczny wyraz tego, co mgliście sam też odczuwałem.

Natchnienie w Polsce nie jest udziałem jedynie wybrańców — tkwi ono w całej masie ludu i narodu. Wystarczy tam popatrzeć na te szaroczarne dzbany — są w nich wszystkie odcienie i cała szlachetność niedoli. Chłopka, co nigdy nie widziała miasta, wycina z papieru jakieś tropikowe gaje. Wstąp w mieście do sklepu ze sprzętem domowym, a zdumienie cię ogarnie na widok nie tylko gustu, ale i wyobraźni. Może właśnie to przepojenie wszystkiego sztuką pociąga mnie ku Polsce. Ale przecież łączy się ono tutaj z charakterem narodowym, nie zapominam ani o batalionie Dąbrowskiego w Hiszpanii, ani o tej kobiecinie, która dźwigała kamienie na odbudowę Warszawy.

Mówiłem o Tuwimie. Mam chęć opowiedzieć również i o jego kolegach ze „Skamandra", z którymi się w Warszawie często widywałem. Słonimski zdaje się być dla niektórych Anglikiem nad miarę szyderczym i nawet zjadliwym, lecz za jego ironią kryje się przecież dobroć, nieroztropność poezji polskiej i polskich losów. Różna bywa u różnych narodów ironia — Cervantes nie jest podobny do Swifta ani do Moliera. Ironia Słonimskiego to nie roztwór wodny, ale sama esencja, za mocna być może dla innego kraju lub epoki, a jeśli rozcieńczona, to nie wodą, lecz łzami. Iwaszkiewicz pieszczochem losu się wydaje na pierwszy rzut oka, jest miękki i bodaj nawet dobroduszny, lecz nie zna dobrobytu ducha. Przypomina szlachcica-marzyciela, ale dużo zamętu i popłochu współczesności znajdziesz w jego książkach. Przychodzi mi tutaj zaraz na myśl jego nowela w latach trzydziestych napisana, gdzie jakiś pisarz polski jedzie na zjazd do Florencji (widocznie pisarze, zjazdy i kongresy tak jak deszcz byli zawsze). Nowela przypomina „Wody wiosenne" Turgieniewa, wszelako powietrze jest w niej nowoczesne i nie taka też miłość jak niegdyś oraz nie taka sama rozpacz.

Jeszcze w 1947 roku nie mogłem zapomnieć o mej wycieczce do Polski przed dwudziestoma laty, kiedyśmy to żyli we dwóch różnych światach i ja starałem się być szczególnie układnym, nie poruszać pewnych tematów związanych z ówczesnymi trudnościami i, krótko mówiąc, zachowywałem się nieraz jak dyplomata. Opowiem tu teraz o niektórych rzeczach śmiesznych dlatego także, aby opowiadanie moje o nich stało się świadectwem, jak bardzo wtedy nie rozumiałem jeszcze zmian, które w świecie zaszły.

Mówiłem, że Polacy powitali nas wówczas z rzadką gościnnością. Dostaliśmy od naszego rządu polecenie przywiezienia do Moskwy delegacji pisarzy polskich na nasze święto październikowe. Cieszyła mnie myśl, że będziemy mogli tak ich u siebie przyjąć, jak oni nas przyjmowali. Z Warszawy wówczas wyjechali z nami: znana pisarka Nałkowska (miała ona wtedy już z górą lat sześćdziesiąt), dramaturg Kruczkowski, ówczesny minister kultury i sztuki w Polsce, oraz poeta Dobrowolski. Do Brześcia jechaliśmy z wszelkimi honorami specjalnym wagonem, lecz na granicy w Brześciu nikt nie wyszedł na nasze powitanie. (Dowiedziałem się później, że się nasza depesza spóźniła). Sprawa wyglądała wręcz katastrofalnie: w „Inturyście" odmówiono nam kategorycznie sprzedania biletów dla gości na kredyt, a kupić ich z braku gotówki nie mogliśmy. Zobaczywszy pociąg radziecki, Nałkowska powiedziała, że

Ilja Erenburg w karykaturze Adolja Hojfmeistera.

czuje się bardzo zmęczona i pragnie się położyć. Odrzekłem jej na to, że na razie pasażerów jeszcze tam nie wpuszczają. (Ale na nieszczęście w tej samej chwili do jednego z wagonów wsiadł jakiś generał, a jego adjutant wniósł za nim walizkę). Zadzwoniłem do sekretarza komitetu obwodowego, lecz tam się okazało, że dzień pracy już się skończył. Odszukałem sekretarza w domu; wysłuchał mnie, wyraził mi swoje współczucie, ale mi oświadczył, że skoro w komitecie obwodowym nie ma już nikogo, to skąd ma wziąć pieniądze? Przekonywałem go, namawiałem, błagałem, groziłem mu nawet możliwością dyplomatycznych komplikacji... Odrzekł mi w końcu na to, że „spróbuje, ale za wynik nie ręczy". Minęła godzina jedna, druga — Nałkowska jęła się dopytywać, czy pasażerowie wciąż jeszcze do pociągu nie wsiadają; Kruczkowski grzecznie milczał; Dobrowolski mówił coś tam o poezji Gałczyńskiego i Pasternaka... Ale co mnie poezja wtedy obchodziła! Biegałem raz po raz do telefonu, dzwoniłem do sekretarza komitetu obwodowego, patrzyłem, czy lokomotywa nie nadjeżdża... Wreszcie sekretarz ów przyjechał i oznajmił, że dostał gotówkę na trzy miejscówki do spania. Poprosiłem go wtedy, żeby powitał gości. Nałkowska nareszcie mogła się położyć, a my zebraliśmy się w przedziale i zaczęliśmy liczyć posiadane przez nas ruble. Potrzebna była jeszcze tego dnia kolacja — nazajutrz śniadanie, obiad i kolacja, na trzeci dzień o jedenastej rano przyjeżdżamy więc aby śniadanie... Ale co z tego? my mamy pieniądze tylko na jedną kolację. Browka powiedział, że nazajutrz rano wysiądzie w Mińsku i że ubolewa, iż tam do miasta ze stacji tak daleko...

Spróbowałem w wagonie restauracyjnym prosić, aby nas karmiono na kredyt, a w Moskwie na stacji zapłacimy, lecz się nie zgodzono mówiąc, że to wykluczone, bo po drodze może być kontrola. Nałkowska poprosiła o jedną szklaneczkę czerwonego wina, a podano nam całą butelkę. Dobrowolski znów zaczął rozprawiać o poezji i nagle powiedział: „Chciałbym zobaczyć poetę, co by umiał z pustej butelki zrobić pełną". Uciekłem — przeliczyłem od nowa nasze kapitały — i zamówiłem jeszcze jedną butelkę wina.

Oświadczyliśmy z rana, że śniadania nie będziemy jedli i że napijemy się tylko herbaty. W Mińsku Browka pożegnał się z wszystkimi, ja zaś zobaczyłem nagle Piotra Ustynowicza, jak gnał z powrotem niby czempion szybkobiegacz i powiedział: „Do C.K. daleko, pobiegłem do domu, ale żony nie było. Oto wszystko, co znalazłem w szufladzie w stoliku". I wsunął mi papierki do ręki. Na obiad wystarczyło. Postanowiliśmy znowu powiedzieć, że kolacji nie będziemy jedli; lecz wieczorem w Smoleńsku cud nas czekał — do wagonu wszedł pisarz Simonow. Wziąłem go zaraz na bok i poprosiłem, żeby powiedział naszym gościom, że przyjechał z Moskwy powitać delegację. A potem go spytałem: „Ile pan ma pieniędzy?" Odrzekł mi: „Ani grosza — sam się ucieszyłem, kiedym was zobaczył, bo myślałem, że kolację zjem z wami, że wypijemy sobie butelczynę wina". Ale potem okazało się, że w jednym z przedziałów jechał jakiś znajomy Simonowa. Byliśmy ocaleni.

W dwa lata później, zaprzyjaźniwszy się z Dobrowolskim, opowiedziałem mu, com przeżył, gdy on zaczął perorować wówczas o zamienianiu pustych butelek w pełne. On zaś śmiał się długo mówiąc: „A toż to jest historia iście polska". A śmiał się z tego potem i Kruczkowski.

Rzecz prosta, że gdy powiadam, iż nic nas obecnie nie dzieli od Polaków, to najmniej mam tutaj na myśli „Inturista". W 1928 roku Polacy i my żyliśmy w dwóch odmiennych światach. Nawet Tuwim wtedy i nawet Broniewski wielu spraw nie rozumieli; a i ja sam też często zbyt porywczo sądziłem i zbyt niebacznie, niektóre tradycyjne uprzedzenia miały mocne życie i dopiero przyjechawszy do Warszawy w roku 1958 poczułem, że już nic więcej od siebie nas nie dzieli. Słonimski, Iwaszkiewicz — starzy to moi przyjaciele, a poznałem się również z młodymi pisarzami i rozmawiając z nimi, już nie odczuwałem granic naszych krajów ani granicy pokoleń.

Ani jesienią w roku 1947, kiedym ten rozdział pisać zaczął, ani też nigdy następnie w Polsce nie czułem się samotny. Jest to, co prawda, tylko sucha z mej strony informacja, lecz mówi ona bardzo dużo.

„Nowyj mir" 1965 r. nr 2

Przełożył:
KAZIMIERZ BLESZYŃSKI

KULUARY

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Funkcjonariusz Straży Marszałkowskiej sprawdził skrupulatnie moją Kartę Wstępu, porównał ją z dowodem osobistym i — wyczuwając, żem tu „nowy" — wskazał grzecznie szatnię. Szatniarka — stara, ubrana w granatowy fartuch kobieta — wydała mi numerek i przez chwilę zastanawiałem się usilnie, do którego z mężów stanu może należeć sąsiadujący z moim, granatowy płaszcz. Myśli takie nasuwają się bezwiednie, są też wielce nieskromne, usprawiedliwić je może tylko ogromne wrażenie, jakiemu ulega każdy, kto po raz pierwszy w życiu przekracza Dostojne Progi, kto po raz pierwszy staje twarzą w twarz z ludźmi, którzy kierują losami narodu. Widziałem tych ludzi wchodzących. Twarze wielu z nich znałem dotychczas z fotografii. Patrzyłem jak pozdrawiają dyżurujących strażników — najczęściej podaniem ręki.

* * *

Salę obrad znałem z kronik i telewizji. Na żywo wrażenie jest silniejsze. Potężna, załamująca światło kopuła ze szkła, amfiteatralnie ułożone rzędy ław poselskich, zwrócone do siebie loże Rady Państwa i Rządu, między nimi stół marszałkowski, trochę niżej opatrzona mikrofonami mównica. — Wszystko to na tle szarej, ozdobionej biało-czerwonym Godłem Polski ściany.

— Wysoka Izbo!

Głos przemawiających docierał do najodleglejszych miejsc galerii z równą siłą, czysto, bez pogłosu. W momencie, gdy jeden z posłów kończył przemówienie, a Marszałek udzielał głosu innemu — na ścianach Rotundy zapalały się silne reflektory, cała sala stawała w złotym blasku. To był moment dla fotoreporterów, dla operatorów z kamerami, których szum roztapiał się zupełnie w wielkim pomieszczeniu, ginął i mówiącemu nie przeszkadzał.

Aparaty grały także w kuluarach. W korytarzu Biblioteki Sejmowej. W poselskim bufecie. W miejscach więc, gdzie poseł porusza się swobodnie, gdzie odbywa prywatne, lub półoficjalne rozmowy; zastać go możesz jak się uśmiecha, jak jest zamyślony lub pogrążony w czytaniu...

* * *

Kuluary. Długi, półkoliście do sali obrad biegnący korytarz z kilkunastoma wnękami, w których umieszczono miękkie, zielonym suknem obite kanapy. Tu odpoczywają, palą papierosy, tu każdy z nich ma opatrzoną własnym nazwiskiem skrytkę; w niej znajdzie projekt ustawy, z którym powinien się zapoznać, z którym właśnie się poznaje.

W kuluarach słyszysz naleciałości dialektów śląskich, wielko i małopolskich, słyszysz gwarę mazowiecką i szorstką polszczyznę Mazurów. Te minimalne odchylenia językowe przenikają się wzajemnie, mieszają, bowiem znają się tu wszyscy — podczas czteroletniej kadencji Sejmu, podczas niezliczonych wystąpień i spotkań — każdy każdemu zdążył uścisnąć dłoń.

Kuluary — to Polska. — Cały kraj i jego interesy. — Dostojnicy państwowi stopieni z armią posłów, ministrowie konferujący z przedstawicielami odległych okręgów, konsultujący się z sobą dyskutanci złączeni węzłem jednego problemu.

* * *

U początku kuluarów, przed wejściem do lóż rządowych, w drugi dzień obrad — 30. III. 1965 r. — w godzinach popołudniowych, podczas ogłoszonej przez Marszałka dwudziestominutowej przerwy natknąłem się na pogrążonych w rozmowie — Prezesa Rady Ministrów — Józefa Cyrankiewicza i Ministra Spraw Wewnętrznych — Mieczysława Moczara. Premier ubrany był w ciemny świetnie uszyty garnitur i białą koszulę ozdobioną czerwonawym krawatem. Minister Moczar — postać w Warszawie niezwykle popularna, otoczona przez posłów dużą sympatią — miał na sobie szarą, modną marynarkę. Premier znany jest warszawiakom jako zapalony automobilista — jedna ze stołecznych gazet poświęciła hobby męża stanu część wywiadu prasowego. Na posiedzenie Sejmu premier przyjeżdżał czarnym mercedesem i prowadził go sam. Minister Moczar znany jest posłom z niezwykłej bezpośredniości, ze swobodnego, niepretensjonalnego sposobu bycia. Jedna z łódzkich studentek, która z ramienia ZMS brała udział w ubiegłorocznym spotkaniu delegatów tej organizacji z Mieczysławem Moczarem, powiedziała mi, że Minister bardzo serdecznie wspomina Łódź i nierzadko zdarza się mu tęsknić za naszymi Bałutami.

* * *

Najlepszym miejscem do wypoczynku i rozmów na poły tylko oficjalnych jest bufet poselski, składający się z dwu bardzo obszernych, zradiofonizowanych sal, z których druga łączy się schodami z hotelem poselskim; posłowie obsługiwani są tu bardzo sprawnie, szybko i uprzejmie...

W menu poselskiego bufetu są tak zwane „dania na zamówienie": brizole, befsztyki, sznycle po wiedeńsku; ale największym powodzeniem cieszą się „szybkie" potrawy barowe: fasolka po bretońsku, flaki oraz cienkie, podawane z musztardą parówki. Za wszystko to posłowie płacą osobiście; i nie żetonami, a pieniędzmi.

W bufecie spotkać można dziennikarzy kluczących między długimi rzędami stolików. Dosiadają się to tu, to tam, robią wywiady z posłami, proszą o parę słów dla radia, parę zdań dla prasy, wiecznie zaganiani, wiecznie w akcji. Sprawozdawcy parlamentarni są taktowni, delikatni, tupet i wścibskość nie wchodzą tu w rachubę.

* * *

31 marca, jeszcze przed południem, po uchwaleniu pięciu projektów ustaw dotyczących szkolnictwa wyższego, w ostatnim z punktów porządku dziennego została podjęta uchwała o zamknięciu sesji. Brzmiała:

„SEJM POLSKIEJ RZECZYPOSPOLITEJ LUDOWEJ — na podstawie art. 41 ust. 4 regulaminu — postanawia zamknąć IX sesję Sejmu z dniem 31 marca 1965 r.

Sala obrad pustoszała. Zaroiły się kuluary. W bufecie zabrakło dla wielu miejsc. Rozpoczęły się chwile pożegnań. Z umieszczonych na ścianach głośników spiker podawał nazwiska posłów proszonych o wyjście do hallu, albo przed Sejm, gdzie oczekiwał jakiś znajomy, lub też na górę, do hotelu. Spiker informował o odjazdach autobusów i pociągów, o miejscach, gdzie można nabyć bilety.

* * *

Patrzyłem na siedzących przy ścianie posłów z Łodzi; na łódzkie posłanki żegnające się czule, nieraz ze łzami w oczach, z posłankami innych okręgów. Padały życzenia, pocałunki, zapewnienia rychłych spotkań. Atmosfera — życzliwości, serdeczności, prawdziwie swojska, niemal domowa, jakiej nie potrafiłby przewidzieć w Takim Miejscu nikt, z przyzwyczajonych do szorstkiej, sztywnej etykiety speców od narad zakładowych. W atmosferze takiej każdy, absolutnie każdy, nawet przypadkowo zabłąkany tam przechodzień — każdy musiałby czuć się dobrze. Atmosferę taką stworzyć mogą tylko ludzie uczciwi, przekonani głęboko, że dobrze spełnili swoje posłannictwo.

ANDRZEJ NADOLSKI

OBROŃCY przeszłości

ZWIERZENIA archeologa

W wiosenny dzień 1199 roku wspaniały rycerz dowodzący wojskami oblegającymi zamek Chalus (koło Limoges we Francji) padł ugodzony strzałą. Nie był to postrzał śmiertelny, ale średniowieczna medycyna nie stanęła na wysokości zadania; wywiązała się gangrena i ranny wódz zmarł pod swoim namiotem po tygodniowej chorobie. Tak odszedł z areny dziejowej Ryszard zwany Lwie Serce, król Anglii i władca połowy Francji.

Ulubiony bohater romantycznej literatury doczekał się w całej Europie popularności grubo przewyższającej jego rzeczywiste zasługi. „Zły syn, zły brat, zły mąż, zły król" powiedzieli ludzie patrzący trzeźwiej od poetów na czyny tego lekkomyślnego i okrutnego, choć niezrównanie mężnego awanturnika w koronie. Nikt jednak dotąd nie dostrzegł, że Ryszard, który był w jednej osobie królem i rycerzem, Francuzem i Anglikiem, krzyżowcem i trubadurem zapisał się też na kartach dziejów archeologii, a w każdym razie na kartach dziejów ochrony zabytków archeologicznych. Zapisał się właśnie przez swoją śmierć pod murami Chalus.

Nic lepiej nie może scharakteryzować politycznej niefrasobliwości Ryszarda niż rozpoczęcie przezeń sporu i wojny z własnym wasalem, wicehrabią Limoges wtedy właśnie, gdy chytry król francuski Filip August na serio zabrał się do likwidowania angielskiego władztwa we Francji zachodniej. Ale właśnie ten spór i ta wojna toczyły się o archeologiczny zabytek. Zaczęło się niewinnie. Oto na polach koło zamku Chalus jakiś poddany wicehrabiego znalazł złoty klejnot, zapewne rzymski albo celtycki. Wicehrabia natychmiast położył rękę na cennym znalezisku, ale wiadomość o tym wypadku doszła do Ryszarda, który z kolei zażądał klejnotu dla siebie. „Od słowa do słowa, aż boli głowa" jak powiada Fredro, wybuchła kłótnia, potem wojna; skończyło się na śmierci Lwiego Serca.

Postępowanie Ryszarda było oczywistym szaleństwem, ale szaleństwo to miało podstawy prawne. Król bronił zasady powszechnie uznawanej w europejskim średniowieczu. Według tej zasady wszelkie podziemne skarby, a więc i cenne **zabytki znajdowane na terenie** kraju stanowiły własność panującego monarchy, zatem własność państwa.

Od czasów oblężenia Chalus minęło siedem i pół wieku. Ale do chwili obecnej w ustawodawstwie wielu krajów toczy się walka o zagwarantowanie państwu praw do zalegających w ziemi znalezisk archeologicznych. **Polska ustawa o ich ochronie (choć bardzo daleka od doskonałości!) zapewnia te prawa w sposób niedwuznaczny.** Stanowisko jak najsłuszniejsze, z tej prostej przyczyny, że tylko odpowiednio przygotowane instytucje państwowe mogą zagwarantować taki sposób wydobywania zabytków, **który byłby zgodny z wymaganiami nowoczesnej nauki; mogą zagwarantować odpowiedni poziom prac wykopaliskowych.**

Sprawa byłaby stosunkowo prosta, gdyby zabytki archeologiczne wynurzały się na światło dzienne tylko dzięki regularnym badaniom. W rzeczywistości jest zupełnie inaczej. Bardzo wielu odkryć dokonuje się przypadkowo, przy okazji prac polnych, drogowych, budowlanych. Odkrywcami są przy tym ludzie często dobrej woli (nie zawsze oj, nie zawsze!) ale z reguły niefachowcy. Dobrze jeśli wiedzą, że w wypadku natrafienia na zabytki należy jak najszybciej zawiadomić odpowiedniego reprezentanta władz państwowych. Bo są tacy reprezentanci i to w każdym województwie. Do niedawna nosili trochę pompatyczną nazwę Inspektorów Ochrony Zabytków Archeologicznych, dziś nazywają się Konserwatorami. **Do nich właśnie należy czuwanie nad tą częścią mienia państwowego jaką stanowią zalegające w ziemi ślady naszych odległych przodków. Niełatwe to zadanie i niełatwe są warunki, w których pracują Konserwatorzy. Ich pozycja prawna dość zawiła, nie sprzyja sprężystemu działaniu.** Ich wyposażenie znacznie odbiega od ideału; wystarczy powiedzieć, że żaden z tych ludzi zobowiązanych do nieustannych szybkich i nieprzewidzianych interwencji w terenie nie dysponuje już nie to samochodem, ale nawet motocyklem służbowym! Sam niedawny tytuł inspektorski bywał źródłem zabawnych nieporozumień.

Pewien łódzki archeolog, dziś stateczny pracownik Uniwersytetu, poświęcił swą górną i chmurną młodość działalności inspektorskiej. Wybrał się kiedyś, aby odszukać i zwizytować grodzisko, które miało się znajdować na terenie wzorowego gospodarstwa, a bodaj nawet doświadczalnej stacji hodowlanej któregoś z instytutów Polskiej Akademii Nauk. Nasz obrońca zabytków zameldował się u kierownika owej stacji, podał swój pełny tytuł służbowy i oświadczył, że pragnie dokonać INSPEKCJI. Tylko to ostatnie niepokojące słowo dotarło do świadomości kierownika. Zasypał pana inspektora mnóstwem

objaśnień i wyjaśnień, mimo nieśmiałych sprzeciwów wtajemniczył go w najbardziej intymne szczegóły zimnego wychowu prosiąt i rozmnażania pszczelich trutni, bo w tych właśnie dziedzinach specjalizowała się owa stacja. Oszołomiony archeolog rad nierad zwiedzał chlewnie i wybiegi, podziwiał dziarskie knury, dostojne maciory i wesołą młodzież, poświęcał należną uwagę sympatycznym (bo bez żądeł!) trutniom. Niestety! wszystkie hodowlane „osiągi" nie znalazły uznania w inspektorskich oczach, przeciwnie sprowadziły burzę na głowę gościnnego kierownika. **Bo okazało się, że cały ten świńsko-trutniowy raj mieści się ni mniej, ni więcej tylko właśnie na poszukiwanym grodzisku.** Całą powierzchnię biednej pamiątki minionych wieków zorały ryje pensjonariuszy. W stokach wałów powycinano kojce i zagrody. I wszystko to pod patronatem Polskiej Akademii Nauk! Następny raz spotkamy się chyba w sądzie na sprawie o niszczenie zabytków — żegnał osłupiałego gospodarza szatańsko uśmiechnięty gość, który okazał się inspektorem od grodzisk, a nie od hodowli prosiąt.

Jeśli tak niefrasobliwie poczynają sobie placówki PAN, to czyż można się dziwić, że taki np. Zygmunt Karbiński, mieszkaniec **wsi Prażki koło Będkowa w woj. łódzkim** wynajął sobie spychacz i w r. 1958, w ramach „zagospodarowania nieużytków" **gładko zrównał z ziemią grodzisko, które wznosiło się na jego gruntach.** Nie masz to jak święta zasada: wolność Tomku w swoim domku! Niestety względy proceduralne nie pozwoliły tym razem na należyte ukaranie wandala. W podobnych okolicznościach przepadło niegdyś **grodzisko w Małyniu nad Nerem.** Miejscowy dziedzic stawiał młyn, grodzisko mu zawadzało. Znalazł wyjście aż genialne w swej prostocie. Kazał wały splantować, przewieźć ziemię na inne miejsce i tam usypać wszystko na nowo! Ten czyn upamiętnił ustawieniem kamiennej tablicy ze stosownym napisem i był głęboko przekonany, iż dobrze się przysłużył sprawie ochrony zabytków. Możemy go usprawiedliwić o tyle, że działał kilkadziesiąt lat temu, kiedy i znajomość archeologii i pojęcia o własności prywatnej przedstawiały się inaczej niż dziś.

Niszczycielski stosunek do zabytków archeologicznych nie jest na szczęście regułą w naszym społeczeństwie. Oto krótka opowieść o tym, jak w romantycznych okolicznościach ocalono dla nauki dwa piękne naramienniki brązowe odkryte **we wsi Borówek, w powiecie łowickim.** Wydobyto je przy kopaniu torfu i znalazcy złudzeni lśnieniem żółtego metalu myśleli w pierwszej chwili, iż mają do czynienia ze złotem. Szybko przekonali się o swej omyłce, ale i wówczas zachowali naramienniki jako rzecz ładną i niezwykłą. Ale jeden z odkrywców miał syna, a syn, jak to się często zdarza miał z kolei pannę i uznał, że ta panna będzie świetnie wyglądać w pradziejowej biżuterii. Zapewne miał rację, lecz młoda osoba (nauczycielka!) zorientowała się od razu czym właściwie jest ofiarowany jej prezent. **Zawiadomiła konserwatora i dzięki temu zawiadomieniu Muzeum Łódzkie zyskało dwa piękne eksponaty, szanowne, bo liczące sobie bez mała dwa i pół tysiąca lat. Kto ciekaw, może je zobaczyć w jednej z witryn na Placu Wolności.**

Nie ulega watpliwości, że rozpowszechnienie w społeczeństwie znajomości pradziejów i zawierzenie dobrej woli przypadkowych odkrywców jest najpewniejsza droga wiodąca do chronienia zabytków archeologicznych. Dużo pewniejsza od tej, którą obrał Ryszard Lwie Serce.

BARBARA WRZESIŃSKA

ZYSKI Z KRAJOBRAZU

Bez względu na to jakie czynniki wpłynęły, zwłaszcza w okresie ostatnich dwóch lat, na ogromny rozwój ruchu turystycznego w naszym województwie — czy była to ze strony młodzieży chęć „polazikowania" i odkrywania nieznanych zakątków, czy zamiar solidnego wypoczynku po całotygodniowym trudzie dorosłych, czy wreszcie okazja wykorzystania prywatnego sprzętu motoryzacyjnego — mamy do czynienia z określonym zjawiskiem gospodarczo-społecznym.

Do przeszłości już należą czasy, kiedy trzeba było zachęcać rady zakładowe i organizacje młodzieżowe aby przygotowywały dla swych załóg czy członków środki transportu, umożliwiające im wyjazdy do lasów lub nad wodę. Sprawa wypoczynku niedzielnego, po pierwszych tego typu udanych imprezach, zdobyła sobie tylu zwolenników, że obecnie trzeba czynić niemałe wysiłki, aby temu ruchowi nadać jakieś zorganizowane ramy, aby mu zapewnić odpowiednią kadrę przewodniczą i bazę docelową.

Pamiętajmy przecież, że niedzielnych wyjazdów nie organizuje się na ogół w nieznane, ich uczestnikom, należy zapewnić odpowiednią bazę turystyczną. Rozmiary zobowiązań władz terenowych i wojewódzkich z tego tytułu wobec uczestników wczasów niedzielnych najwyraźniej określa fakt, że tylko w ciągu ubiegłorocznego sezonu w miejscowościach wypoczynku światecznego przebywało około 1.200 tys. osób. **Średnio więc każdej słonecznej niedzieli „bramy miast" opuszczało około 100 tys. mieszkańców, udając się zwłaszcza w doliny rzek: Pilicy i Warty.** Obok bowiem uznanych już miejscowości, w dolinie Pilicy, coraz większym uznaniem cieszą się, położone w dorzeczu Warty, Pstrokonie, Krzeczów, Księże Młyny, Uniejów, Burzenin, Sieradz.

I.

Bieg Pilicy i Warty wykreśla więc zadania dla władz wielu powiatów. Chodzi tu mianowicie o Piotrkowskie, Wieluńskie, Sieradzkie, Poddębickie i Pajęczańskie. Urok tych ziem został już sprawdzony. Można go więc zmusić, aby zaczął procentować, ale nim to nastąpi trzeba weń sporo zainwestować. **Chodzi tu o przygotowanie kąpielisk i baz wyżywieniowych, parkingów, urządzeń sanitarnych, wypożyczalni sprzętu sportowego, rozbieralni, boisk i o... poprawę dróg.** Niektóre bowiem z wymienionych wyżej miejscowości to do niedawna zupełne uroczyska, do których przyjezdni rzadko zaglądali.

I to uroczyska w pełnym tego słowa znaczeniu. Zadania są tym większe, że przez szereg lat województwo łódzkie posiadało na te cele bardzo skromne sumy, gdyż jeszcze do ubiegłego roku znajdowało się ono pod względem wielkości nakładów na inwestycje turystyczne **na jednym z ostatnich miejsc w kraju.**

Wynikłe stąd zaległości trzeba będzie „nadrabiać" w najbliższych latach. Oczywiście nie wszystkie ciężary muszą spaść na administrację państwową. **Wszak turystyka to także doskonały interes. Nie chodzi tu już** nawet o traktowanie jej jako specjalnej gałęzi „przemysłowej", na wzór wielu sąsiadujących krajów, ale o zrozumienie płynących z niej korzyści materialnych. Wykazali je już w pewnym stopniu handlowcy z woj. poznańskiego, którzy przy trasie międzynarodowej Kutno—Poznań otworzyli w ubiegłym sezonie letnim szereg estetycznych kafejek, zaczyna je również wykazywać „Społem" woj. łódzkiego, które zamierza wybudować 20 letnich pawilonów handlowo-gastronomicznych, w najliczniej odwiedzanych miejscowościach. PSS zaś zamierza w roku przyszłym wznieść nowoczesną restaurację w Spale, przeznaczając na ten cel 2,5 mln. Należy również liczyć, że także Miejski Handel Detaliczny, a zwłaszcza spółdzielczość wiejska, która z racji swej rozbudowanej sieci winna mieć w tym względzie najwięcej do powiedzenia.

Ale handel — to nie tylko sprzedaż owoców, napojów chłodzących, papierosów, barowego choćby posiłku — to także CPN, bez której należytych usług żaden zmotoryzowany turysta nie pojedzie. **A tymczasem sieć stacji CPN na Ziemi Łódzkiej z daleka zalatuje prowincjonalizmem w najgorszym wydaniu.** Sprowadza się ona bowiem do 57 punktów sprzedaży paliwa, z których tylko 2 są czynne całą dobę (Łowicz i Piotrków) 12 — na dwie zmiany (w godz. 7—21), zaś 43 na jedną zmianę w godzinach od 8 do 16. Z tych 57 stacji tylko 15 posiada benzynę wysokooktanową, a brak jej nawet w miastach na trasach międzynarodowych takich jak: Sieradz, Krośniewice, czy Wieruszów. **Nabycie paliwa w godzinach wieczornych lub w dni świąteczne urasta w woj. łódzkim do rangi ogromnego problemu.** Zresztą nie tylko w sezonie letnim.

II.

Aby nie było wątpliwości trzeba podkreślić, że z uwagi **na określone warunki ekonomiczne kraju, resort kultury** fizycznej i turystyki zaliczany do inwestycji nieprodukcyjnych nie jest uwzględniany w najbliższym planie pięcioletnim. Tym większe więc zadanie władz terenowych, które pewne urządzenia mogą finansować z nadwyżek budżetowych i... czynnika społecznego. **Dowiedli tego zresztą „ojcowie" Sieradza i Uniejowa, którzy z roku na rok, gromadząc każdy możliwy grosz i angażując młodzież oraz starsze społeczeństwo urządzili ze swych grodów ośrodki cieszące się dobrą marką nie tylko wśród mieszkańców Ziemi Łódzkiej.** Sieradz to zresztą miasto powiatowe, ale mały Uniejów bije na głowę wiele okrzyczanych miejscowości, osiągając czołowe miejsce w kraju zarówno pod względem organizacji wypoczynku niedzielnego jak i przygotowania dla turystów zaplecza gastronomicznego. W roku ubiegłym Uniejów „zagarnął" nagrody aż w trzech konkursach — na najlepiej przygotowaną **do sezonu miejscowość na**

Greta Garbo

• LEGENDA
• RZECZYWISTOŚĆ

Obliczono, iż dzięki filmom z Gretą Garbo włoska TV zyskała ostatnio milion nowych telewidzów. W Londynie, największe kino „Empire" pobiło dotychczasowy rekord własnych dochodów o 1200 funtów, wyświetlając stare filmy z Gretą Garbo. W Paryżu, podczas festiwalu filmów z Gretą Garbo, na Champs-Elysées nie było ani jednego wolnego miejsca...

Mit Grety Garbo jest zawsze żywy. W roku 1931, mając dwadzieścia kilka lat, Greta Gustafsson — ekspedientka ze Sztokholmu — zadebiutowała w drugorzędnej roli w filmie Pabsta pt. „Ulica bez radości". Bardzo wysoka — jej partnerzy musieli stawać na taboretach, żeby ją pocałować mówiła sama o sobie: „nie jestem ładnie zbudowana". Miała jednak jeden mocny atut: twarz. Kiedy film mówiony zaczął święcić triumfy, uważano powszechnie, że to koniec jej kariery. Jednak „chytry" Metro Goldwyn Mayer chciał się co do tego upewnić i nakręcił z nią film „Anna Christie". Po piętnastu minutach projekcji wchodzi na ekran Greta Garbo: w przekrzywionym kapeluszu, z wyrazem zmęczenia na twarzy, mówi tym swoim ochrypłym głosem: „Dajcie mi whisky"! Ten głos zapewnił jej nowe triumfy!

Ale już w roku 1941 Greta Garbo w ogóle znikła z ekranów. Czy dlatego, że Liga Amerykanek przystąpiła w tym czasie do bojkotu jej ostatniego filmu „Kobieta o dwóch obliczach". W 36 roku życia miała jeszcze przed sobą długie lata błyskotliwej kariery filmowej. Więc skąd ta nagła rezygnacja? Greta Garbo nie chce pokazywać swoich zmarszczek, nie chce uciekać się, jak to robią inne, do sztuczek plastycznej chirurgii. Chce pozostawić w pamięci swoich wielbicieli obraz kobiety wiecznej, kobiety, w którą wcieliła się w takich filmach, jak „Anna Karenina" czy „Królowa Krystyna". Więc usuwa się w cień, umiera żyjąc. Ubrana w stary płaszcz, w pantoflach na niskim obcasie, rozpoczyna włóczęgę przez świat, kryjąc za ciemnym szkłem wielkich okularów twarz bez makijażu.

Greta Garbo mieszka w Nowym Jorku, na 54 ulicy, pod numerem 450. Zajmuje obszerny apartament na V piętrze. Jego okna wychodzą na East River. Mieszka sama. Pięć razy w tygodniu przychodzi gospodyni domowa, która sprząta i gotuje. O godz. 16 kończy zajęcia i wychodzi.

Apartament mieści się w wielkim, luksusowym domu, dość osobliwym z racji całkiem małych drzwi wejściowych i tylko jednej jedynej windy. Jak na stosunki amerykańskie — funkcjonalna ekstrawagancja, dlatego mimochodem warto było o tym wspomnieć. Dźwig jest stale pilnowany, a jego personel ma ostry zakaz wpuszczania kogokolwiek, kto by chciał jechać windą do Grety Garbo. Stwarza to poczucie bezpieczeństwa i daje pewność, iż nikt jej nie zaskoczy.

Mieszkanie składa się z 6 pokoi, z czego 4 — to gracjarnia, bezładnie zapełniona meblami. Tylko salon i sypialnia są urządzone. Salon ogromny, ściany zawieszone obrazami mistrzów — musiało to kosztować fortunę. Wszystkie wybrała pani domu, urzeczona ich kolorystyka. Są tu płótna Renoira, Soutina, Delaunaya... Ściane w głębi zdobią pastele Fautin-Latoura, obrazy malarzy współczesnych oraz martwa natura, w której dominują róże. Salon nie jest więc smutny. Róże są także na abażurach, zawsze dużo ciętych róż w wazonach. Greta Garbo wstaje zawsze o godz. 7 rano, robi toalete i sama przygotowuje sobie pierwsze śniadanie. Zjada je w kuchni, przed przyjściem gospodyni, gdyż lubi absolutny spokój. O godzinie 9 przychodzi gospodyni, a o 9.30 Greta Garbo wychodzi na miasto.

Teraz rozpoczyna się nieskończona włóczęga po Nowym Jorku. Bez względu na porę roku, w deszcz, śnieg, czy słoneczną pogodę, od godziny 9.30 do 12.30 Greta Garbo przemierza gąszcz nowojorskich ulic. Mały beret na głowie, ogromne ciemne okulary na nosie, czarne spodnie i takiż pulower, a jeśli chłodno — to jeszcze futro. Tak jest ubrana.

Często chodzi ulicami Pierwszą i Drugą, są najbardziej ruchliwe. Sądzi, iż w tłumie trudniej ją rozpoznać. Kiedy mimo to przechodnie przystają i oglądają się za nią, udaje, że nic nie widzi. A gdy czasem ten lub ów zagadnie ją o coś, wtedy ucieka.

Pewnego dnia, w windzie wielkiego domu towarowego, jakaś kobieta przyjrzała się jej uważnie i spytała: „Doprawdy, czy mam wierzyć własnym oczom?..." — „Nie" — odpowiedziała Greta Garbo i wysiadła z windy na najbliższym piętrze, choć nie miała tam nic do załatwienia.

Zaraz po drugim śniadaniu, które niezmiennie od lat jada we własnym mieszkaniu punktualnie o godzinie 13, znów wychodzi na miasto. Po południu idzie często w kierunku Madison Avenue i Central Park. W Madison Avenue ogląda galerię nowoczesnego malarstwa.

W środowisku malarskim znają ją, bardzo lubią i szanują jej samotność. Obrazy, które wybiera i kupuje są zawsze jasne, radosne. Ta wewnętrzna radość jest jej ostatnią linią obrony przed naporem zewnętrznego świata, który ją przeraża. Do domu wraca ok. 16.30, kiedy gospodyni już nie ma.

Do niedawna widywała się z bliskimi przyjaciółmi — Georgesem i Valentiną Schlee, którzy mieszkali w tym samym domu. W listopadzie ub. roku Georges Schlee zmarł, Valentine wyjechała. Teraz jest więc całkowicie osamotniona. Większość jej dawnych przyjaciół przebywa w Europie. Tych, którzy zostali, widuje raz na trzy, cztery tygodnie.

W okresie między 1 grudnia a 15 stycznia opuściła dom jeden jedyny raz: była u przyjaciół. Przebywała tam od godz. 17 do 18.30. Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok spędziła samotnie, u siebie w domu.

W towarzystwie wypija dwie lub trzy szkaleczki wódki. Jest wtedy w doskonałym humorze, radosna, pełna czaru, uśmiechnięta, a kiedy się uśmiecha wokół wszystko promienieje. Znikają gdzieś zmarszczki, są tylko te jej promienne oczy, piękny nos, roześmiane usta. Nagle znów jest „Królową Krystyną", znów jest „Ninoczką"... Gdy zbliża się godzina 18.30 i zapada wieczór pryska dobry nastrój. Greta Garbo jest coraz bardziej niespokojna, chce wracać. Za żadną cenę nie zgodzi się być poza własnym domem po godzinie 19. O tej porze jest zawsze w domu, zamknięta na cztery spusty. Sama przygotowuje sobie kolacje. Je, ogląda program telewizyjny. Ok. godziny 21.30 kładzie się, trochę czyta i zasypia.

Ma zastrzeżony numer telefonu. Zna go bardzo niewiele osób, może z tuzin. Jednak i ci mają trudności, gdyż po południu z reguły nie podnosi słuchawki. Jeżeli już jednak uda się ją uchwycić i namówić do odwiedzenia znajomych czy przyjaciół — przychodzi o oznaczonej godzinie z dokładnością chronometru, rozmawia w sposób czarujący, jest inteligentna i dowcipna. Zachodzą ludzie w głowę, dlaczego taka interesująca osoba żyje w tak surowym odosobnieniu?

Tej zimy, ulegając opinii lekarza, zdecydowała się spędzić 15 dni na pewnej słonecznej wysepce na Morzu Karaibskim. Oczywiście, najmniejszej ze wszystkich i najbardziej ukrytej. Po wielu wahaniach znalazła się wreszcie w samolocie, dumna, że jednak umiała się oderwać i od domu i od samotności. Lękała się tylko fotoreporterów. Rzeczywiście miała pecha! Zaraz nazajutrz, na lotnisku w Porto Rico, gdzie musiała się przesiąść do innego samolotu, została z miejsca rozpoznana i natychmiast sfotografowana. Na zdjęciach, które ukazały się w prasie, uwieczniono ją w owych nieśmiertelnych czarnych okularach. Podobno chronią ją przed oczami wścibskich...

Czy jest szczęśliwa? Kiedy zadają jej to pytanie, odpowiada żartem, ale przede wszystkim unika odpowiedzi. Kiedy pytają ją, dlaczego tak lubi samotność, odpowiada, że jest nieufna od momentu swoich debiutów w Hollywood. Że potrzebuje piętnastu lat na wypróbowanie nowych przyjaciół. Wreszcie, że ludzie chcą ją poznać tylko po to, żeby później móc powiedzieć: znałem Gretę Garbo. (s)

---

najlepsza restauracyjna salę bezalkoholową i na najlepsze menu.

III.

Wojewódzki Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki dużą wagę przywiązuje do właściwej organizacji szkolnego ruchu wycieczkowego. Zasadnicze zastrzeżenie budzi okres organizowania przez szkoły wycieczek. Na ogół wszystkie zakłady nauczania organizują „wojaże" w miesiącach maju i czerwcu. **Z tego powodu występują poważne „korki" w samym ruchu turystycznym, braki w taborze transportowym, przeładowanie w porach posiłków restauracji i obiektów zwiedzanych przez młodzież.** Ten nadmierny tłok dzieci męczy i niweczy w znacznym stopniu walory poznawcze wycieczek. A przecież szkolny ruch wycieczkowy jest czynnikiem składowym wychowania i nauczania, oparty o program nauczania i plany dydaktyczne może być pomyślnie realizowany w ciągu całego roku.

Wiele w tym względzie zależy jednak od inicjatywy szkolnych Kół Turystyczno-Krajoznawczych, współdziałających z PTTK i mogących nawiązać kontakty z innymi placówkami turystycznymi. Organizacje turystyczne w woj. łódzkim pracują bowiem coraz lepiej. Oddziały PTTK w Zgierzu, Pabianicach, Tomaszowie Maz., Piotrkowie i Skierniewicach wykazują wiele inicjatywy. Coraz większą prężność wykazują STW „Gromada" i SKP „Turysta", a zwłaszcza „Gromada", otwierająca swe pododdziały wszędzie tam, gdzie istnieje zapotrzebowanie na działalność biur turystycznych. **Mimo to ciągle jeszcze odczuwa się poważnie brak tego typu usług w Kutnie, Wieluniu, Radomsku i Brzezinach.**

Jeśli chodzi o miasta, organizacje turystyczne wykazują stałe tendencje rozwoju. Tylko w ubiegłym roku w woj. łódzkim powstało 30 nowych kół PTTK, zrzeszających 1000 członków. Istnieją jednak tereny, gdzie PTTK ma jeszcze niczym nie ograniczone możliwości ekspansji. Chodzi o wieś. Z jednej strony o zdobycie dla turystyki młodzieży wiejskiej, zwłaszcza zrzeszonej w LZS, z drugiej zaś o przygotowanie przy jej pomocy szeregu atrakcyjnych miejscowości dla potrzeb turystycznych. **Krótko mówiąc chodzi o to, aby członkowie LZS zajęli się organizacją kwater w budynkach prywatnych, widząc w tym zysk zarówno dla własnej organizacji jak i społeczeństwa wiejskiego.** Noclegi są przecież w naszym województwie ciągle jeszcze problemem nr 1. Trochę to przypomina słynną anegdotkę, sprowadzającą się do kwintesencji: słoń a sprawa polska. Z której by bowiem strony nie spojrzało się na sprawy turystyki zawsze w końcu dojdzie się do... inwestycji. No, bo prywatne kwatery — kwaterami, ale są miejscowości, w których w ten sposób zagadnienie rozwiązać się nie uda.

IV.

Nie ma co owijać w bawełnę. Zagadnienia turystyki były i mimo pewnej poprawy są poniekąd nadal traktowane po macoszemu. W roku 1960 na potrzeby turystyki w całym województwie przeznaczono... 26 tys. zł. W roku ubiegłym kredyty na ten cel wyniosły 316 tys. z której to sumy 206 tys. zł znajdowało się w budżetach PRN, **zaś na rok bieżący na turystykę przeznaczono 678 tys. zł. Za te pieniądze niewiele uda się „zwojować.** W pierwszym rzędzie przeznaczono je na przygotowanie kadry organizatorów turystyki, dążąc do tego, aby rekrutowali się oni ze wszystkich większych przedsiębiorstw przemysłowych, pomoc dla organizacji społecznych przy organizowaniu imprez turystycznych, wykonanie tablic informacyjnych, kierunkowskazów, informację turystyczną, konkursy, zakup drobnego sprzętu i nowych wydawnictw.

Na szczęście, oprócz wymienionej kwoty, woj. łódzkie otrzymało prawie 4,5 mln zł dotacji z Centralnego Funduszu Turystyki i Wypoczynku. Z tych środków będą kontynuowane prace przy obiektach rozpoczętych w r. ubiegłym, jak np. budowa urządzeń w Sulejowie, rozbudowa obozowiska PTTK w Grabskich Budach, budowa stanicy wodnej w Rochnie, budowa ośrodka wypoczynkowego w Głownie, budowa parkingu w Nieborowie, adaptacja budynku noclegowego w Uniejowie. Oprócz tego będzie finansowane urządzenie plaż, parkingów, sanitariatów i budowy stanicy wodnej w Topiszu.

Wypada dodać, że pomyślano także o turystach zagranicznych. GKKFiT przeznacza około 60 mln zł na modernizacje hoteli położonych przy trasach międzynarodowych. Z kwoty tej w bieżącym roku będzie przeprowadzona m. in. modernizacja hotelu „Krakowskiego" w Piotrkowie, w latach następnych zaś hoteli w Sieradzu, Kutnie, Tomaszowie i Radomsku.

Wniosek wydaje się prosty: Baza turystyczna Ziemi Łódzkiej posiada ciągle jeszcze ogromne braki, ale mamy nadzieję, że w latach następnych zaobserwujemy pewien postęp w tej dziedzinie. Pozwala tak przypuszczać Uchwała WRN, zobowiązująca m. in. terenowe rady narodowe do opracowania perspektywicznych planów zagospodarowania turystycznego. Turystyka jest przecież bez wątpienia czynnikiem aktywizacji gospodarczej.

Ze świata nauki

Bajka opowiada o człowieku, który mógł oddychać w wodzie. Dzięki rybim skrzelom żył wśród syren i rusałek, głęboko pod powierzchnią morza. Niejednokrotnie już fantazja zmieniała się w rzeczywistość. Latający dywan uskrzydlił się samolotem, kryształowa kula rozbłysła seledynowym światłem telewizora. Nierealne pozostawało tylko wcielenie się w człowieka-rybę: oddychanie tlenem rozpuszczonym w wodzie. A jednak...

Amerykański chemik Dr Walter Robb zademonstrował zdumionym widzom ciekawy eksperyment. Na dnie akwarium ze złotymi rybkami, pod niewielkim przezroczystym namiotem umieścił żywego chomika. Zwierzątko przebywało tam przez wiele godzin, mimo braku jakiegokolwiek kontaktu z otaczającą atmosferą. Tajemnicę stanowił materiał z jakiego zbudowany został namiot. Była to błona silikonowa. Odkryta dość dawno, długi czas nie znajdowała zastosowania, poza produkcją pewnych farb i lakierów. Dopiero Dr Robb zauważył, że dzięki specyficznej strukturze cząsteczek stanowi ona świetny filtr z łatwością przepuszczający gaz, natomiast dużo trudniej wodę. Całkowicie nieprzepuszczalna okazała się błona dla cząsteczek mineralnych. Wydychany przez chomika dwutlenek węgla przechodził z łatwością przez ścianę namiotu, a na jego miejsce napływał rozpuszczony w wodzie tlen. Wymiana ta była identyczna z tą, jaka zachodzi w pęcherzykach płucnych człowieka.

W chwili obecnej trwają doświadczenia. Już teraz stosuje się błonę silikonową jako filtr pozwalający przetwarzać słoną wodę morską na słodką, zdatną do picia. Można jednak sądzić, że w niedługim czasie zostanie zbudowany aparat, pozwalający na przebywanie pod powierzchnią przez czas nieograniczony. Powstana idealne warunki dla nurków, uniwersalne aparaty ratunkowe. Łodzie podwodne zamienia się w ryby-giganty, oddychające tlenem zawartym w otoczeniu wodnym. Ba! Możliwe stanie się nawet zamieszkanie człowieka na dnie morza, budowanie tam osiedli i miast. Otworzy się wtedy pełen niewyczerpanych możliwości nowy świat — królestwo Neptuna.

MAREK BRONIKOWSKI

J. L. PEREC

3 kwietnia minęło 50 lat od śmierci klasyka literatury żydowskiej, polskiego patrioty, poety, nowelisty, dramaturga i krytyka — J. L. PERECA. Poniżej drukujemy jedno z jego „opowiadań ludowych".

HARMONIA małżeńska

Chaim jest tragarzem. Gdy idzie ulicą uginając się pod ciężarem skrzyni, która go całkiem zasłania, wydaje się, jak gdyby ta skrzynia sama posuwała się na dwóch nogach... A jednak, już z daleka słychać ciężkie sapanie Chaima. Ledwo zrzuci z siebie ciężar — za którego odniesienie otrzymuje parę marnych groszy — wyprostowuje się, wciąga głęboko powietrze i ociera pot spływający po zoranym zmarszczkami czole. Potem biegnie pod studnię, z której pełnymi haustami pije wodę i wchodzi na podwórze odrapanego domu. Staje obok ściany, podnosi głowę i woła:

— Chana!

Na poddaszu otwiera się małe okienko, z którego wychyla się główka kobieca w białym czepku i odpowiada:

— Chaim?

Patrzą na siebie przez dłuższą chwilę, jakby się dopiero pierwszy raz widzieli. Chaim podrzuca zarobione grosze, owinięte w papierek, a żona chwyta je w powietrzu. Powtarza się to codziennie.

— Co za kobieta! — myśli Chaim. — Niejeden pozazdrościłby mi takiej żony.

Stoi wpatrując się w nią jak w tęczę — i wcale nie ma ochoty odejść.

— Idź, idź, Chaim! — mówi z uśmiechem żona. Ja nie mogę odejść od chorego dziecka, przysunęłam kołyskę do pieca i gotuję obiad.

— Co porabia biedactwo? — pyta Chaim.

— Lepiej mu.

— Dzięki Bogu! A Henia?

— U krawcowej.

— A Josel?

— W chederze.

Chaim oddala się powoli, a Chana patrzy za nim, aż jej znika z oczu. W czwartki i piątki rozmowa trwa zazwyczaj dłużej.

— Ile masz w papierku? — pyta Chana.

— Dwadzieścia „szóstek".

— Obawiam się, że za mało.

— Co właściwie masz jeszcze kupić?

— Za „szóstkę" maść dla dziecka, za parę groszy świece. Chałę już przygotowałam. Mięso także. Kupię wino na „kidusz" i...

Tu zaczyna wyliczać, czego jeszcze brak na sobotę. Po dłuższej debacie dochodzą jednak małżonkowie do wniosku, że bez wielu rzeczy można się obejść. A jeśli Bóg daje, że dzieci są zdrowe, mosiężne lichtarze nie oddane w zastaw, a szczególnie, jeśli jest „kugel" na sobotę — szczęście małżeństwa nie ma granic.

Chana jest specjalistka w przyrządzaniu sobotnich smakołyków. Zawsze jej czegoś brakuje — to mąki, to tłuszczu, to jaj — ale w końcu „kugel" jest wspaniały.

— To aniołowie gotują — mówi z uśmiechem Chana.

— Aniołowie? — powtarza Chaim. — Sama chyba jesteś małym aniołem, dając sobie radę ze mną i z dziećmi... Ileż razy cierpisz z ich powodu! A ze mnie — czy dużo masz pociechy? Ty i dzieci chodzicie obdarte, bez koszul, bez butów... Do czego ja się właściwie nadaję? Nie umiem się nawet modlić i śpiewać nabożnie...

— Mimo wszystko, jesteś dobrym mężem i ojcem. Dałby Bóg, byśmy wspólnie dożyli szczęśliwej starości.

Mówiąc to małżonkowie spoglądają sobie w oczy z taką miłością, jakby dopiero co odeszli spod baldachimu.

•

W sobotę po południu idzie Chaim do małej bożniczki, by usłyszeć kazanie wygłaszane przez miejscowego mełameda. W bożnicy jest gorąco. Twarze słuchaczy są zaspane. Tu i ówdzie ktoś drzemie, ktoś znów ziewa na głos.

Z chwilą, gdy mełamed dochodzi do sedna rzeczy, opowiadając o życiu pozagrobowym — o piekle, gdzie smaga się grzeszników żelaznymi prętami, o raju, gdzie sprawiedliwi siedzą w złotych koronach na głowie i uczą się Zakonu — wówczas wszyscy się ożywiają, twarze wyrażają skupienie, Żydzi słuchają z zapartym oddechem opowiadania o tym, co czeka ich na „tamtym świecie".

Chaim stoi zazwyczaj przy piecu. Ze łzami w oczach, drżąc na całym ciele, przysłuchuje się słowom mełameda. Myślami przenosi się do „krainy wiecznego żywota". Cierpi wraz z grzesznikami, przeżywa wszystkie piekielne katusze. Z przerażenia oblewa go zimny pot. Za to cieszy się wraz ze sprawiedliwymi. Raj, aniołowie, legendarna ryba „Lewiatan" — wszystko to staje mu żywo przed oczyma. Chwyta ciężko oddech, a wargi jego szepcą: „Boże Wszechmocny! Chociaż skrawek, chociaż odrobinę, choć okruszynkę raju — dla mnie, dla mojej żony i dla wszystkich moich dzieci!" Ze smutkiem zwiesza głowę i sam sobie zadaje pytanie: „Za co? Za jakie zasługi?"

Razu pewnego zbliżył się, po dłuższym wahaniu, do mełameda.

— Rebe — zapytał drżącym głosem. — Dajcie mi radę, jak zasłużyć na raj?

— Ucz się Tory — brzmi odpowiedź.

— Nie umiem.

— Odmawiaj psalmy.

— Nie mam na to czasu.

— Módl się żarliwie!

— Nie rozumiem słów modlitwy.

Mełamed patrzy na niego z politowaniem.

— Kim jesteś z zawodu?

— Tragarzem.

— Przysłuż się ludziom zajętym nauką Tory. Przynoś co wieczór kilka wiader wody do bożnicy.

— Rebe! — woła uradowany Chaim. — A moja żona?

— Kiedy mąż siedzi w raju, żona jest jego podnóżkiem...

•

Gdy Chaim wrócił wieczorem do domu, żona jego odmawiała modlitwę.

— Nie, Chano, nigdy nie zgodzę się na to, abyś była moim podnóżkiem! Schylę się, podniosę cię i posadzę obok siebie. Będziemy siedzieli razem na jednym krześle, jak teraz... Jest nam tak dobrze razem... A Bóg będzie musiał się na to zgodzić!...

PRZEKŁAD HORACEGO SAFRINA

JERZY WÁLEŃCZYK

Narcyz

Narcyza w ogóle cechuje miłość świata i ludzi. Nie ma najmniejszej trawki, źdźbła, kiełka zielonego czy zgniłego, na którego widok nie wpadałby w trans szaleństwa i uniesienia. W ogóle wszystko mu się podoba.

Prezes nie oznajmił mu bezpośrednio powołania Narcyza do innych robót i na razie doświadczał go w małych, ale istotnych dla spółdzielni „Hydrant" sprawach.

Jak tylko Mirka pojawiła się na horyzoncie wierność Narcyza dla jego obowiązków wzrosła, skrupulatność stała się maksymalnie precyzyjną i jak tylko prezes zarządził wino i ciastka Narcyz stawał na baczność i migiem zjeżdżał po schodach i w niecały kwadransik wracał, wyliczał się, wykładał na stół to co zorganizował i z pałającym uśmiechem rzucał ostatni argument: „Tu, Prezesie, jest jeszcze dziesięć groszy, proszę bardzo". Dziesiątkę przyciskał do ceratowej serwety, o której niektórzy w mieście mówią źle, ale to ci, którym Narcyz się nie kłania i wszyscy obecni w takich chwilach milkną zdumieni, a Narcyz zrzuca wtedy czarny sweter węgierski z czerwonymi dwoma pasami biegnącymi pionowo od ramion w dół, zostaje w czarnej koszuli z szelkami, przeprowadza mały trening, skacząc lekko, wyciągając ramiona przed siebie, ze zwichrzonymi włoskami z obu stron szerokiej czaszki, z gładkim lśniącym pasem startowym myśli przebiegających mu od czoła poprzez czaszkę aż do tyłu głowy z wyglansowanym dokładnie miejscem, w które, jak mówi, powinny dziewczynki całować, bo w tym celu jest łysy.

Prezes patrzy wówczas na niego i mruczy: „Wyglądasz teraz jak spadochroniarz".

Istotnie, szerokie szelki opinające Narcyza to nierzeczywiste pasy spadochronu.

Tylko koniuszki włosów mu się trzęsą. Potem energicznie wraca do pozycji wyjściowej i rzeczowo zaprasza wszystkich, aby się nie krępowali, czuli się jak u siebie w domu i ma dwie poduszeczki, jedna twardsza, bordo, druga miękka w czerwonym płótnie i podsuwa gościom pod siedzenia i ujmuje to wszystkich, jak tylko zaczyna: „Pozwól, podłożę ci poduszkę, będzie ci miękko i wygodnie".

Ta twardsza poduszeczka jest oczywiście lepsza i na niej siedzi się znacznie wygodniej niż na tamtej rozrzedzonej. Jest trochę szersza od tamtej, taki większy czworobok, płaski i można się do niej przyzwyczaić niezauważalnie, a kiedy Narcyz nachyla się podając ją starannie, z godnością, z konturem nagłej surowości na twarzy, nieznoszącej w tej chwili sprzeciwu, ze stanowczością, która doszła do pewnych rozstrzygnięć.

Plecy wyginają mu się w łuk jak sprężynowy pręt i odskakują natychmiast w linię prostą i Narcyz jest rozpłomieniony, ten któremu podał poduszkę korzysta z naturalnych szans pochylenia głowy, pokonany nieogarnioną radością Narcyza, że mu dane było usłużyć i być grzecznym.

Narcyz poprawia wówczas rękawy koszuli, podciąga za przeguby dłoni tak wysoko, jak tylko pozwala mu na to przedramię, przechyla lekko głowę w lewą stronę, taje z radości przyglądając się pokonanemu, który poprawia krzesełko o wysokich nóżkach, cienkich, rzeźbionych u zakończenia na kształt pazurów zwierzęcych i to jest sensowny gest, bo przelotnie można otrzeć się o niespodziewane impulsy grzeczności Narcyza, o domysły nieskończone, przypuszczenia przelotne, które jaśniej ukazują Narcyza opętanego uprzejmością, powiedzmy, chwilami przykrą. Ale to jego trud włożony w kształtowanie jakiejś jego nowej osobowości.

A Narcyz osiągnął już stan kiedy wie się pewne rzeczy o sobie i o innych. O szybkim uruchamianiu rąk, nerwowości, zmienności układu palców, w braku chwili zawieszenia nieruchomego, jest przywiązanie Narcyza do siebie, ścieranie się tego, co jest nim, z tym, co przejął, a czasem niechęć spontaniczna do cudzych sugestii daje mu jak gdyby konsekwentną siłę, notoryczną.

* ★ *

Ach, jakby to było pięknie — mówię do naszego Astronoma, żebyś ty ze mną był, szkoda, że nie byłeś w Milęcinie, no, mówię ci, śliczne to jest, wspaniałe, wszystko byś miał nowe, z sortów mundurowych, spodenki ładnie zaprasowane, piękne guziki błyszczące, poszedłbym do oddziałowego sam, powiedziałbym, panie oddziałowy, pan pozwoli ładny mundurek dla naszego kochanego Astronoma, trepów oczywiście by ci nie dali, zaraz by pan Astronom poszedł do biblioteki, przygotowywałbyś do matury, no, cudownie byłoby. Albo jak byś coś przeskrobał, to do mandoliny czyli łopatki i ładnie byś ziemię wyrzucał, nie tak, mocniej trochę, rączkę niżej, o, tak, lub do innej roboty.

Był tam jeden dyrektor, kiedyś zza węgła tak śmiesznie głowę wychylił jak chłopak, śledził nas co my robimy. To śmieszne jak dorosły człowiek wygląda tak zza węgła jak chłopak. Słuchaj, pożycz mi złotówkę, błagam cię, na tramwaj, do domu, od tego zależy wiele, pojadę na dworzec, lubię tam zachodzić, podejdę do jakiejś sierotki, powiem jej, po co ma pani tutaj siedzieć, czekać całą noc na pociąg, może pani do mnie wstąpi, ciepło jest, przyjemnie, radio, a ona powie, no dobrze, mogę do pana jechać, wtedy ja nie będę miał złotówki, ratuj mnie, słuchaj. A może by tak zajrzeć do Perdka na Koziołki, tam jest okno nie zasłonięte, wszystko widać z ulicy, może tam jest Krycha, ja ją jednak lubię, może Krycha jest u niego, oni tam czasem nago chodzą.

Poznałem ją na dworcu. Weszła do ubikacji. Siedziała tam bardzo długo, czesała się i czesała, to znaczy, że nie ma swojego kąta. Wyszła w tym swoim paletku i szybkim krokiem kierowała ku wyjściu. Podskoczyłem do niej, mówię: przepraszam panią najmocniej, przecież wyższa ode mnie, może byśmy się gdzieś wybrali, a ona mówi, jestem skromnie ubrana, nic nie szkodzi, mówię, możemy do mnie jechać, zgoda, mówi, i zanim doszliśmy do rogu Kolejniaka, to jest kilkanaście kroków od dworca, już mówiła mi na ty.

Potem awanturę mi zrobiła i z moim nożem kuchennym podskoczyła do mnie. Mówi, bo jak cię ćtachnę, wtedy Cambridge wykręcił jej rękę i wypuściła nóż.

Wtedy zaczęła mi śpiewać głośno, na korytarzu, a była trzecia w nocy. Sąsiadów pobudziła, ja doskoczyłem do niej i uderzyłem ją. No i to oko jej podbiłem.

Zaczęła mnie gonić. Krzyku narobiła, przebudziła księży bernardynów, ludzie krzyczała, łapać tego zwyrodnialca.

Wpadłem w zaspę śniegu, on, krzyczy, z psami żyje, ja istotnie kiedyś z wilczurem w Milęcinie leżałem, tak go przytulałem do siebie, mówiłem, mój piesku kochany, drogi piesku.

Zadzwoniła z budki, przyjechało pogotowie milicyjne, zgasiłem światło i czekam za drzwiami. Słyszę kroki, a potem dzwonek i cisza. Potem jeszcze raz. „Nie ma go w domu" mówią. „Jest, musi być" mówi Kryśka. Znów dzwonek. Ja nic. „Widocznie uciekł", mówi Kryśka. „Rano przyjdzie".

Rano o dziewiątej słyszę ostry dzwonek. „Nie ma mnie" myślę sobie. Potem drugi, trzeci, wiesz ile razy dzwoniła? Z przerwami sto razy. No, myślę sobie, otworzę. Stoi Kryśka. Z podbitym okiem, skromna, puść mnie, mówi.

No i zaraz, rozumiesz, te rzeczy.

Trzeba zostawić to wszystko, wziąć się do porządnego życia. To równia pochyła, przecież jest jeszcze czas, nie upadłem tak nisko, aby nie wycofać się z tego trybu życia, który wciąga mnie w coraz to nowe awantury, przecież trzeba pomyśleć o przyszłości. Recydywa cieszyłaby się, gdybym wrócił do więzienia. „A widzisz, cieszyliby się widzisz, prorokowaliśmy, że wrócisz. I wróciłeś". A co powiedział kiedyś Tadek w Krakowie? Kiedy stajemy się przestępcami? Kiedy łamiemy prawa, którymi żyje społeczeństwo. Tak. Tak. Prawa. Prawo jest silne. Ale potrzeba jest silniejsza. Kto to powiedział? Goethe.

Ostatni miesiąc. Jak to było? Naczelnik dał mu do napisania pracę pod tytułem: „Wpływ izolacji na psychikę więźnia". Napisałem dziesięć stron. Wszyscy mnie podziwiali. Na spacerze zatrzymywali mnie. „Podobno napisałeś klawy referat, bujnąłeś ich", mówili. Recydywa mrugała do mnie porozumiewawczo. Pisałem o sprzeciwie wewnętrznym więźnia i o patologii. Zająłem się recydywą i pierwszy raz karanymi. Wykazywałem, że lojalność recydywy wobec władz jest zakłamana i fałszywa. Oparta na cynicznym wyrachowaniu. Wartościowym jest pierwszy raz karany, który zbiera raporty, ale to dlatego, że nie jest przystosowany do warunków więziennych. Ale czy to prawda?

Co to za ptak utkwił sobie gniazdko dźwięku na golej gałęzi marca?

Nie chciałbym tam wrócić. Nie wrócę. Nie.

Konkludowałem, że izolacja ma dobroczynny wpływ na psychikę więźnia. Izolacja ma dobroczynny wpływ. Czy wykorzystałem ten czas, aby zastanowić się nad tym, czym jest istota izolacji człowieka. Przecież nie miałem pojęcia o tym, co to jest więzienie. Człowiek bez wyobrażeń, scenerii, istoty więzienia. Czy dostrzegałem w sobie zmiany? Jakby świat komunikował mi coś nowego, byłem winny, odcierpiałem. Ale co dalej?

Przeszastane lata. Jestem sam. Wrócić do życia, do ludzi, do ich trosk, do tego czym wszyscy żyją. Nie izolować się od epoki. Od ciepłego Golfstromu życia. Nie można inaczej. Nie można wiecznie pamiętać krzywd zadanych i krzywd zaznanych. To obłęd.

Acha. Co jeszcze tam pisałem? Izolacja działa odstraszająco. Jest silnym hamulcem przed ponownym wkroczeniem na drogę przestępstwa. Pobyt w więzieniu jest silnym przeżyciem, które pozostawia trwały ślad na psychice więźnia. Czy przeszedłem ewolucję? Czy to już kres?

Kary są surowe i wysokie. Więc przestępstwo nie opłaca się z matematycznego punktu widzenia. Mówiłem o resocjalizacji. A teraz te dziwki znów mnie pchają na drogę przestępstwa. Kryśka przychodzi już rano o siódmej. Z pracowitej nocy. Wychowawcze zadanie. Wychowawcze. Napisałem: „Tylko jednostki na wskroś zdemoralizowane wykazują tendencję do powrotu na drogę przestępstwa".

Naczelnik mnie pytał wtedy czy sam to pisałem, czy nie korzystałem z żadnej pomocy. Powiedziałem, że przeglądy więziennictwa są tak pilnie strzeżone przez funkcjonariuszy, że wypożyczenie ich jest niemożliwe. Istotnie tak było.

Powiedziałem szczerze: „Panie Naczelniku, chciałem pożyczyć książkę Stefanii Sempołowskiej o więzieniach. Bibliotekarz odmówił, ponieważ miała czerwony pasek na okładce. Była zakazana. Pożyczył mi natomiast inną książkę nieznanego autora „Bądź piękną", zaopatrzoną w zdjęcia artystyczne nagich kobiet. Tej nocy cała cela była podniecona. Młodzi więźniowie wyrywali sobie nawzajem książkę".

Miałem za sobą czterdzieści jeden miesięcy. Teraz znów otwiera się ta martwa droga. Trzeba to sobie powiedzieć. Ćwierkająca tyloma zachęcającymi perspektywami życia ułatwionego. Snuję te rozważania, doceniam to wszystko, schroniłem się w pojęcia wartości społecznych, ale znów próbuję się z nich wydostać, powtórzyć to raz jeszcze, coś rośnie we mnie, czego dawniej w sobie nie miałem, to, co było gorące, ostygło i to, co miało ostygnąć znów się rozpłomienia. Jakiś mroczny taniec głosów, jakieś opętanie, jakiś wstyd, jakaś niechęć.

Będę wychodził od rana. Najwcześniej. Będę zostawiał zawsze kartkę: WYSZEDŁEM, BĘDĘ o 22. PROSZĘ NAPISAĆ KTO BYŁ, KIEDY PRZYJDZIE I W JAKIEJ SPRAWIE. Tak będzie najlepiej. A nie tak jak przedtem. Co mówi Astronom?

Rys. Magda Kapuścińska

JAN KOPROWSKI

FOTOGRAFIA

Mały chłopczyk żydowski z podniesionymi rękami
a za nim uzbrojeni po zęby żandarmi.

Ma krótki płaszczyk, podkolanówki, myckę na głowie.
Już nigdy niczego więcej o nim się nie dowiem.

Kim była jego mama, kim był jego tata,
z jakiego przyszedł i do jakiego przeniósł się świata.

Ten chłopczyk nawiedza mnie we śnie. Budzę się nagle w nocy
i chciałbym krzyczeć: „Ludzie, ludzie, pomocy.

Ratujcie małego chłopczyka, ratujcie żydowskie dziecko
przed wymierzoną w jego serce kulą niemiecką".

Ale nie mogę krzyczeć. Nie mogę wybiec na drogę.
Coś mnie dławi za gardło, nogi wrastają w podłogę.

Więc leżę zwinięty w kłębek, serce jak pies do krtani skacze,
wciskam głowę w poduszkę, suchymi łzami płaczę.

Jest noc i cisza i świat ogromny i obcy
i na fotografii mały żydowski chłopczyk.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

PRZED DWUDZIESTU LATY

Obserwuję ostatnio w naszej beletrystyce urodzaj na tematy nauczycielskie. W ciągu niecałego roku, po głośnej „Agnieszce" Wilhelma Macha, ukazało się kilka innych książek o tej właśnie tematyce, jak np. „Ja za wodą" J. Żwirskiej lub „Trzciny" W. Szewczyka. Wydana obecnie powieść Tadeusza Chróścielewskiego „Szkoła dwóch dziewcząt", wydłuża ten cykl tematyczny, choć na pewno go nie zamyka.

Sądzę, że literackie obrazy spraw szkolnych i nauczycielskich są równie potrzebne i pożyteczne jak książki sięgające do innych zagadnień naszej współczesności. Równie, a może nawet bardziej potrzebne od niektórych utworów opartych na wątkach i tematach tak dokładnie już ze swej treści „wyciśniętych", że chyba tylko jakiś geniusz zdołałby powiedzieć o tym coś nowego i nieznanego. Bez powtarzania truizmów o znaczeniu oświaty w życiu i dla życia narodu, o społecznej funkcji nauczycieli i pedagogów wszelkiego szczebla — walor książek z tego właśnie kręgu tematycznego jest oczywisty.

Nagrodzona na konkursie ZLP i Prez. WRN w Łodzi powieść Chróścielewskiego mimo zasadniczej zbieżności fabularnej z książkami wyżej wymienionymi, różni się przecież od nich w trzech istotnych punktach: po pierwsze postacią główną w „Szkole" jest bardzo młody polonista, a nie panienka tuż — tuż po studiach nauczycielskich, więc ta odmienność płci rzutuje z natury rzeczy na bieg spraw powieściowych; po drugie — akcja toczy się u Chróścielewskiego w szkole gimnazjalnej, a nie podstawowej; i po trzecie — szerszym terenem tej akcji jest duże miasto — Łódź, a nie jakaś zapadła wieś.

Mówiąc dokładniej, Chróścielewski pisze o pewnej szkole średniej na Bałutach, powstającej do nowego życia w roku szkolnym 1945/46. Organizowanie szkolnictwa w owym trudnym i burzliwym czasie było — bo musiało być — w znacznej mierze improwizacją i nie lada wysiłków dokładać musieli ofiarni improwizatorzy, by krok za krokiem osiągać zamierzone cele. Autor „Szkoły" demonstruje nam to wszystko w sposób bardzo poglądowy.

Młodzież — ta z wyższych klas bałuckiego gimnazjum, była pokoleniem osobliwego autoramentu: wiekiem dorównująca młodocianemu panu profesorowi, a niekiedy może nawet przewyższająca go pod tym względem; była zapóźniona — z przyczyn zrozumiałych — w nauce, ale dojrzała siłą swych ciężkich doświadczeń życiowych. Pół biedy jeszcze z dryblasami, mieszczącymi się z trudem w ławkach szkolnych, ale przecież były tu też uczennice — w pełnym rozkwicie dziewczęcych powabów, na co młodziutki profesorek nie mógł pozostać obojętny. Stąd po obu stronach niepokoje i komplikacje sercowe, zakończone — jak świadczy finał powieści — pełnym triumfem „córki tego, co tramwaje jego". Jakże trudno było wobec takiej klasy zachować powagę, autorytet i w ogóle to wszystko, co powinno cechować właściwy poziom pedagoga!...

W czasie jednego roku szkolnego kronika gimnazjalna na Bałutach, ani chyba żadnej innej podobnej uczelni, nie może dostarczyć tyle materiału, by wyłącznie z niego zbudować książkę o trzystu kilkudziesięciu stronicach. Toteż Chróścielewski, który miał „oczy ku patrzeniu i uszy ku słyszeniu", pozostawiając „swoją" szkołę na planie pierwszym, przenosi dość często akcję na szersze tło, sięga do innych środowisk i dotyka spraw ogólniejszej natury. W rezultacie — poza interesująco zróżnicowanymi sylwetkami uczniów i kolegów-nauczycieli — bohater i zarazem narrator powieści prezentuje obfitą galerię notabliów, naukowców, literatów, ba! nawet spekulantów „niebieskich ptaków", a z tych wszystkich epizodów i epizodzików, spotkań, rozmów i spostrzeżeń, z kalejdoskopowego układu treści wyłania się charakterystyczny w szczegółach obraz ówczesnej Łodzi, obraz, którego oryginał zachowują w swej świadomej pamięci bynajmniej nie wszyscy dzisiejsi mieszkańcy Łodzi. W tok powieściowej narracji wdzierają się też niekiedy dość ostre echa przeciwieństw i sporów politycznych, co pozwala lepiej odczuć i zrozumieć swoistą aurę tamtych — odległych już — dni. Przesadziłbym twierdząc, że z powieści Chróścielewskiego wyczytać można o Łodzi sprzed lat dwudziestu — wszystko. Ale przecież autor „Szkoły dwóch dziewcząt" nie pisał monografii historycznej, lecz powieść — przypominam — o tematyce głównie i przede wszystkim nauczycielskiej. Więc któż by wnosił o to do niego pretensje?...

Tadeusz Chróścielewski w karykaturze S. Gratkowskiego

Skoro już padło to słowo, powiedziałbym, że trochę, zresztą marginesowych, pretensji można by mieć do autora o nadmiar szczegółowości w niektórych opisach albo np. o to, że w dość licznych na ogół momentach retrospekcji, czasy powieściowe: przeszły i teraźniejszy splata niekiedy tak ściśle i bezpośrednio, iż maci to nieco przejrzystość narracji. Ale najważniejsze jest chyba to (co podkreślić trzeba z satysfakcją, że do tematu szkolnego Chróścielewski podchodzi rzeczowo i bez emfazy, a zarazem ż bardzo ciepłym sentymentem i poczuciem humoru, dzięki czemu powieść nabiera ważkich cech komunikatywności w rękach każdego czytelnika.

Na koniec jeszcze jedno. W „Szkole dwóch dziewcząt" autor wykazał daleko posuniętą umiejętność posługiwania się specyficznymi odmianami języka potocznego. A więc prócz gwary sztubackiej spotykamy tu interesujące próbki gwary przedmiejsko-łódzkiej (czy po prostu bałuckiej), poza tym jest też niemiecko-polski żargon woźnej — Niemki, polsko-rosyjski volapük uczonego Profesora; sądzę, że przy dokładniejszej analizie znalazłyby się jeszcze w tekście „Szkoły" inne osobliwości językowe, mogące zainteresować nie tylko lingwistów.

„Szkoła dwóch dziewcząt" należy bez wątpienia do ciekawszych pozycji bieżącego sezonu wydawniczego. A jej wartość, jak sądzę, polega m. in. na tym, że — choć w ciągu dwudziestu lat wiele się zmieniło w organizacji systemu naszego szkolnictwa oraz w programach i metodach nauczania — z doświadczeń i przemyśleń bohatera książki i dziś jeszcze, mutatis mutandis, początkujący pedagogowie mogą zaczerpnąć sporo wiedzy przydatnej w codziennej praktyce zawodowej. ■

Festiwal amatorskich teatrów poezji

Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w porozumieniu z Ministerstwem Kultury i Sztuki oraz w ścisłej współpracy z zainteresowanymi instytucjami, stowarzyszeniami społeczno-kulturalnymi i organizacjami masowymi zorganizowało II Ogólnopolski Festiwal Amatorskich Teatrów Poezji z repertuarem rosyjskim i radzieckim.

Przegląd amatorskich zespołów w ramach eliminacji ogólnołódzkich wykazał wysoki poziom, rzetelny wysiłek i przemyślane podejście do trudnej sztuki recytacji. Z sześciu przewidzianych na 25 marca spektakli obejrzałem trzy, z których Estrada Literacka przy Zarządzie Okręgowym ZNP — Klub Nauczyciela nie przeszła do finału pomimo że dobór repertuaru, kultura słowa i ogólny wyraz ideowy i artystyczny stały moim zdaniem na wysokim poziomie. Wyboru wierszy ze współczesnej poezji radzieckiej dokonał reżyser Maciej Grymowski.

Według punktacji Wojewódzkiego Sądu Konkursowego, po 50 punktów na 60 możliwych tzn. przewidzianych maksymalnie i trzy równorzędne nagrody zdobyły **ZMS-owski Teatr Poezji Metafora II za „Opowieść o Rudym Motele" Josifa Utkina (reż. Alojzy Jamroż); Teatr Małych Form za „Obłok w spodniach" W. Majakowskiego (reż. Wiesław Szczotkowski); oraz Teatr przy Radzie Okręgowej Zrzeszenia Studentów Polskich za wybór wierszy A. Błoka „Rosja to sfinks" (reż. Jan Jakubiszyn).** Przy ostatnim widowisku obok osiągnięć recytatorskich i reżyserskich warto podkreślić stronę muzyczną, opracowaną interesująco przez Bożenę Nowak.

Ponadto **zespół Teatru Poezji przy Elektrociepłowni** otrzymał wyróżnienie za montaż poezji „Braterstwo broni" (reż. W. Szczotkowski), zaś **Teatr Etiuda** przy klubie ZMS „Bakałarz" otrzymał wyróżnienie ufundowane przez ZMS za społeczną postawę i ofiarną pracę zespołu.

Czy jeden z trzech pierwszych nagrodzonych zespołów, i który, pojedzie na Ogólnopolski Festiwal w Poznaniu w dniach 23—25 kwietnia br.?

Według Regulaminu Centralny Sąd Festiwalowy na podstawie wyników eliminacji wojewódzkich wytypuje sześć najlepszych amatorskich teatrów poezji i sześć najlepszych zespołów recytatorskich. Konkurencja jest niełatwa. Na 218 teatrów i zespołów, które przystąpiły do eliminacji około 70 do 80 już przeszło przez sito wojewódzkie. Czy wśród dwunastu najlepszych znajdzie się chociaż jeden z trzech nagrodzonych zespołów łódzkich?

OBSERWATOR

Nad czym pracują pisarze

LECH UTRACKI

Po dwu tomach opowiadań alpinistycznych aktualnie w druku znajduje się moja trzecia książka: „Kradzione Weekendy". Tematem jej są nie tylko góry i sprawy z nimi związane, a południowy zachód Stanów Zjednoczonych, ów historyczny „Dziki Zachód" westernów. Są tam opowiadania i reportaże z Kalifornii, Nevady, Arizony, z wypraw alpinistycznych i włóczęgi samochodowej, z przygód przeżytych wśród beatników i dziwaków Los Angeles. „Kradzione Weekendy" dzięki troskliwości i staraniu Wydawnictwa Łódzkiego uzyskają szczególnie staranną oprawę graficzną i będą zawierać kilkadziesiąt „dokumentujących" zdjęć. Trudno mi przewidzieć z jakim przyjęciem spotka się książka u czytelników. Mogę tylko stwierdzić, iż kosztowała mnie ona najwięcej trudu i w mym przekonaniu jest najlepszą z dotychczas napisanych przeze mnie; pisałem o rzeczach dla mnie frapujących i mam nadzieję, że czytelnik również nie będzie się nudził czytając.

Nad czym pracuję obecnie? Poza działalnością publicystyczno - felietonową w dalszym ciągu piszę opowiadania amerykańskie i alpinistyczne. Forma opowiadania jest mi szczególnie bliska zarówno jako czytelnikowi, jak i pisarzowi. Tym niemniej postanowiłem spróbować również większej formy — rozpocząłem powieść z życia środowiska naukowego. Te-

mat ten dla przeciętnego czytelnika jest równie egzotyczny, jak alpinizm czy „Dziki Zachód" i wydaje mi się wart podjęcia.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Ankieta „Odgłosów" zaskoczyła mnie w bardzo przyjemnym dla pisarza momencie: właśnie ukończyłem pracę nad nową sztuką teatralną. Nie wydaje mi się, żeby rozkoszą był dla kogoś sam proces pisania. Ja każdorazowo jego zakończenie witam z radością.

„Piąty lot" jest trzecią pełnospektaklową sztuką teatralną, jaką napisałem. Publiczność łódzka zna moje poprzednie utwory dramatyczne — „Sprawiedliwość w Kioto" i „Jutro Berlin" ze sceny. Nowa moja sztuka rozgrywa się współcześnie w środowisku lotniczym. Przed jej napisaniem byłem na dokumentacji w jednej z jednostek Wojsk Obrony Powietrznej Kraju i korzystałem z uprzejmości pilotów, wprowadzających mnie w gęstwinę nieznanych mi spraw. W efekcie wyszła mi sztuka o charakterze psychologicznym. O przyszłych jej losach nic mi jeszcze na razie nie wiadomo.

Na ukończeniu mam również powieść, którą przygotowuję dla Wydawnictwa Łódzkiego. Nazwa — „Pisze Willy Martin", tematyka — okupacja w Polsce widziana oczyma Niemca-hitlerowca. Zamierzenie niełatwe, choćby dlatego, że trudno wczuć się w psychikę wroga.

Oprócz utworów własnych mam w dorobku także i adaptacje telewizyjne i teatralne. Jedną z nich była „Wierna rzeka", która grana była przez Teatr im. Jaracza w Łodzi 108, a przez Teatr im. Solskiego w Tarnowie ponad 90 razy. Obecnie Teatr 7.15 gra moją adaptację „Przygód dzielnego wojaka Szwejka".

Plany na przyszłość? Myślę o nowej sztuce teatralnej. Tematyka? To rzecz w stosunku do bardzo jeszcze nie „ucukrowanego" pomysłu delikatna. Powiem tylko, że zahaczać będzie o tak modną na Zachodzie psycho-

somatykę. Ale nic wspólnego z Cwojdzińskim! Więcej nie mogę zdradzić. I tak zdaje się powiedziałem za dużo...

KRONIKA

Antytelewizyjna

DO TRZECH RAZY SZTUKA

W ubiegłym tygodniu ważnego recenzenta zadowoliły w sposób szczególny trzy audycje. Z pewnością było ich więcej, ale czas ludzki jest ograniczony i trudno, by życie swoje spędzać na siedzeniu przed telewizorem. Więc wybaczcie mi, jeśli pominąłem jakąś pozycję udaną. Pierwsza teleaudycja, która pragnę pochwalić, prezentowała występy zespołu pieśni i tańca „Śląsk". Ładnie śpiewali, pięknie tańczyli, repertuar ich ciągle się rozwija i wzbogaca. Oprócz starych, znanych i uznanych numerów, które cieszą się ogromną popularnością, zademonstrowali ślązący szereg nowych rzeczy, znanych mało lub nieznanych wcale. Na marginesie tej audycji nasunęły mi się pewne refleksje. Byłem wielkim entuzjastą „Mazowsza", a takie pieśni z jego repertuaru, jak „Bandoska" uważam za absolutne arcydzieło. Zawarta w tej prostej pieśni historia losu chłopa polskiego jest wręcz wstrząsająca. Słuchałbym tej pieśni godzinami. Ale świetność „Mazowsza", zdaje się, zbladła nieco. Zabrakło twórcy zespołu, Tadeusza Sygietyńskiego. Natomiast „Śląsk" rozwija się i doskonali dzięki swemu kierownikowi, Stanisławowi Hadynie. Oto, co znaczy osobowość twórcy. Od niego zależy, czym stanie się zespół ludzi, którymi przyjdzie mu kierować. To jest tak jak z orkiestrą: nie wystarczy jeszcze najlepszy nawet skład osobowy grających. Dopiero dyrygent nadaje charakter swojej orkiestrze. Zatem „Mazowsza". Początkowo było ono zespołem ciekawszym od „Śląska". Miało więcej pieśni chwytających za serce i doskonale opracowanych i wykonywanych. Obecnie górę wziął „Śląsk" i tak już chyba pozostanie. Druga teleaudycja, która niszczy te słowa stawia wysoko, było przedstawienie „Snu" Teodora Dostojewskiego, wykonane przez teatr katowicki. Od paru lat panuje w ogóle moda na Dostojewskiego. Dramatyzuje się jego powieści i opowiadania i wprowadza się je na scenę. Na ogół eksperymenty te okazują się udane. Na przykład: „Wieczny małżonek" w Małej Sali Teatru Nowego w Łodzi. Ale Dostojewski pokazany w telewizji sprawdza się jeszcze lepiej. Możliwości, jakie daje kamera telewizyjna, stają się w przypadku prezentowania utworów Dostojewskiego po prostu olśniewające. Wspomniany „Sen", reżyserowany przez Lidię Zamkow, fascynował od początku do końca. Lidia Zamkow zagrała również epizodyczną rolę Pułkownikowej. I zagrała ją świetnie. Oto przykład na potwierdzenie tezy, że nie ma małych ról. Mogą być tylko mali aktorzy. Dobry aktor nawet z drobiazgu stworzy swoiste arcydzieło. Podobał mi się również aktor, grający rolę Wujaszka (niestety nie zapisałem sobie jego nazwiska). „Sen" Dostojewskiego, jak w ogóle utwory tego pisarza, jest drapieżny i bezlitosny w odkrywaniu ludzkich charakterów. Trzeba powiedzieć więcej: jest okrutny. Ktoś kiedyś wyznał: po przeczytaniu Dostojewskiego kładę się do łóżka i choruję. Ale też jest w nim ogromna siła oczyszczająca. Ludzie Dostojewskiego, często głęboko nieszczęśliwi i zaszczuci, schodzą na samo dno piekła. Autor nie zaoszczędzi im niczego. Nie zaoszczędzi niczego również nam, czytelnikom i słuchaczom. Przedstawienie „Snu", nadane przez telewizję katowicką, uważam za najważniejsze wydarzenie artystyczne tygodnia.

W sobotę telewizja stołeczna zaprezentowała nam „Kabaret Starszych Panów". Była to wprawdzie pozycja nienowa (nadana z telerecordingu), lecz oglądaliśmy ją z przyjemnością jeszcze i z tego powodu, że „Nieznani sprawcy" należą do bardziej udanych pozycji tego kabaretu. Wasz recenzent, sam starszy pan, czuje szczególną słabość do Jeremiego Przybory i Jerzego Wasowskiego. Ale i pozostali wykonawcy byli w tym wypadku na znakomitym poziomie. Dziewoński, Gołas, Michnikowski, Czechowicz oraz a może nade wszystko Irena Kwiatkowska przyczynili się do powodzenia „Nieznanych sprawców". Wasz sprawozdawca nie podziela natomiast ogólnie panującego zachwytu dla Kaliny Jędrusik. Ta bez wątpienia utalentowana aktorka popadła w banalność i rutynę, co tym bardziej zadziwia, że jest to aktorka młoda.

W związku z Kabaretem Starszych Panów muszę się z moimi czytelnikami podzielić następującym doświadczeniem. Wraz ze mną oglądało te audycje kilku studentów. Jakież było moje zdziwienie, gdy oświadczyli, że audycja ta ich nudzi i nie rozumieją, na czym polega jej urok i humor. Zmartwiłem się potężnie, omal nie zapłakałem. Jak to? Więc mogą być ludzie, do których to nie trafia? nie przemawia? Natomiast ci sami studenci uwielbiają Kalinę Jędrusik. Otóż i macie, moi państwo, gusty pokoleniowe. Dla mnie starsi panowie, a dla nich — Kalina Jędrusik. I na to nie ma żadnej rady. Ale pocieszam się jednym: moi synowie, którzy są młodsi od owych studentów, bardzo lubią Kabaret Starszych Panów. Więc nie wszystko stracone! Cała nadzieja nie w młodych lecz w młodszych.

Tymczasem jednak muszę już kończyć swoje sprawozdanie, bo za chwilę rozpocznie się mecz Czechosłowacja — Portugalia. Wiele sobie, jako zaciekły kibic piłki nożnej, po tym meczu obiecuję. W czasie świąt przeżyłem wielką emocję oglądając sprawozdanie telewizyjne z meczu Polska — Włochy. Teraz będę mniej zaangażowany emocjonalnie, ale nie mniej zaciekawiony przebiegiem spotkania.

JACEK WIERZBIŃSKI

Marta Szczepaniak i Wanda Jakubińska

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

KOBRA NA SCENIE

Komedia sensacyjna Roberta Thomasa „Osiem kobiet" przypomina pod względem klasycznych zasad sensacji, na których została zbudowana, grana w sezonie teatralnym 1963—64 na tej samej scenie sztukę Roberta Duviviera i Jeansona „Marie-Octobre". Te klasyczne zasady, to jak wiadomo: Kto zabił? Kto zdradził? (w „Marie-Octobre") oraz: Kto był zainteresowany w morderstwie? (w „Ośmiu kobietach"). Powiedzmy sobie jednak od razu, że „Marie-Octobre" przewyższała „Osiem kobiet" szlachetnością tematyki i tonu, głębszą problematyką i bardziej finezyjną budową dramaturgiczną. Ponadto, tam, w „Marie-Octobre", szło o pewne sprawy zasadnicze, które po dziś dzień wzbudzają zainteresowanie: konfrontacja po pietnastu latach uczestników Ruchu Oporu nasuwała pytania, czy dopuszczalne jest stosowanie wobec winnych tych metod, które można było ostatecznie usprawiedliwić dawniej warunkami walki podziemnej? Tutaj, w „Ośmiu kobietach", mamy obraz konfliktów interesów prywatnych, których nicość moralna nie nasuwa najmniejszych wątpliwości nikomu w tym sensie, że nie są one godne niczego innego oprócz pogardliwej dezaprobaty. Tam, w „Marie-Octobre", patrzyliśmy na ludzi o wymiarach heroicznych (z wyjątkiem jednego — zdrajcy), tutaj, w „Ośmiu kobietach" patrzymy na kreatury o pokroju „strasznych mieszczan" (z wyjątkiem jednej, najmłodszej, jeszcze nie skorumpowanej przez otoczenie, Katarzyny).

W założeniu dramaturgicznym komedii Thomasa tkwi rażące nieprawdopodobieństwo: Rodzina dowiaduje się od pokojówki o zamordowaniu pana domu i nikt z najbliższych nie śpieszy do pokoju zamordowanego, aby... nie zatrzeć śladów i nie utrudnić przez to badań i oględzin daktyloskopijnych.

Następnie zaczyna się rodzaj domowego śledztwa, toczącego się w hallu sąsiadującym z sypialnią, w którym leży zamordowany pan domu ze sztyletem w plecach. Darujmy sobie perypetie skomplikowanej akcji, w zakończeniu której z ust młodszej córki, Katarzyny, dowiadujemy się, że morderstwo zostało upozorowane, aby rzekomy nieboszczyk mógł się dowiedzieć, co o nim naprawdę sądzi niewierna żona, niewdzięczna starsza córka i równie niewdzięczna, jak na domiar skąpa teściowa.

Scena, w której Katarzyna wygłasza wielki monolog, demaskujący matkę, babkę i starszą siostrę, należy do najlepszych w sztuce i jest spóźniona próba uratowania miernych wartości literackich tej sensacyjnej komedii. Po czym nieszczęsny pan domu popełnia rzeczywiste tym razem samobójstwo i przed willę zajeżdża karetka policyjna. Koniec. Po premierze prasowej dodano finałową scenę: rzekomy (przepraszam: z początku — „rzekomy", a następnie — „rzeczywisty") nieboszczyk wychodzi z pokoju i oznajmia: „To był żart, proszę państwa" czy coś w tym rodzaju. Okazuje się więc, że i kryminały nastręczają niemało kłopotów. Ale czy ten zabieg ratuje sytuację? Chyba raczej obniża rangę sztuki Thomasa degradując ją do rzędu żartu scenicznego czyli — zwykłej już kobry.

Komedia francuskiego dramaturga była grana w bulwarowym teatrze paryskim zwanym Teatrem Edwarda VII i cieszyła się podobno niezwykłym powodzeniem zarówno w Paryżu, jak i na scenach „wszystkich krajów świata". Możliwe... pod warunkiem, że była wystawiana w znakomitej obsadzie aktorskiej i pod kierownictwem wytrawnego reżysera. W teatrze Nowym tylko Ewa Zdzieszyńska, Wanda Jakubińska i Janina Jabłonowska pokonały trudności i płyciznę tekstu tworząc precyzyjnie zarysowane postacie Gaby, Starszej Pani i Chanel. Natomiast brak doświadczenia i rutyny dał się szczególnie we znaki odtwórczyni roli Katarzyny, która ani aktorsko ani głosowo nie udźwignęła trudnej roli szalonej nastolatki i zaprzepaściła szanse, jaka jej dawał monolog w finale aktu trzeciego.

Pod względem reżyserskim sztuka domagała się śmiałego ołówka reżyserskiego i bardziej pomysłowego ustawienia sytuacji. Wydaje się, że realizowana ostatnio przez dyrekcję Teatru Nowego ambitna, chociaż nieco ryzykowne współpraca z młodym narybkiem reżyserskim nie wytrzymała próby sceny.

Pod względem kasowym powodzenie „Ośmiu kobiet" jest oczywiście zapewnione. Wiadomo, w Polsce kobra w telewizji lub na deskach scenicznych to prawie — święto narodowe. Odwołuje się wówczas umówione spotkania i narady i zasiada w otoczeniu rodziny, domowników i przyjaciół-sąsiadów przed szklanym ekranem TV w uroczystym i pełnym napięcia oczekiwaniu na węża przymrużającego szelmowsko oko.

Podobno autor sztuki Robert Thomas marzy o tym, żeby znaleźć wolne dwa tygodnie i przyjechać do Polski. Na obejrzenie swej sztuki? Myślę, że lepiej, żeby jednak nie przyjeżdżał.

SPEKTAKLE tygodnia

	FILM	
CWF POLONIA	Pingwin, 35 seansów	16.580 — 60%
WŁÓKNIARZ	The Beatles, 42 seanse	20.930 — 70%
	TEATR	
JARACZA	„Kto uratuje wieśniaka", 4 spektakle	2700 — 100%
	„Koncert", 3 spektakle	1800 — 100%
	„Ostatnia stacja", 2 spektakle	1300 — 100%
	„Wieczór Trzech Króli", 2 spektakle	1300 — 100%
NOWY	„Osiem kobiet", 3 spektakle	1500 — 65%
	„Pan Geldhab", 2 spektakle	1400 — 100%
	„Garść piasku", 1 spektakl	700 — 100%
MAŁA SALA	„Drewniana miska", 2 spektakle	400 — 100%
POWSZECHNY	„Do trzech razy sztuka", 2 spektakle	1007 — 75%
	„Dziady", 1 spektakl	666 — 100%
	„Ktoś nowy", 3 spektakle	2004 — 100%
7.15	„Latające dziewczęta", 6 spektakli	2630 — 100%
OPERA	„Manon", 1 spektakl	620 — 100%
	„Janek", 1 spektakl	659 — 100%
OPERETKA	„Czarujący Giulio", 2 spektakle	4126 — 75%
	„Bal samotnych", 3 spektakle	4126 — 75%
FILHARMONIA	2 koncerty kameralne	660 słuchaczy

PÓŁKA z książkami

KSIĄŻKA WYBITNEGO KOMUNISTY

Marian Naszkowski, wiceminister spraw zagranicznych PRL, poświęcił drugi tom swoich wspomnień tułaczce wojennej, a potem działalności politycznej i wojskowej w ZSRR, jednakże zaopatrzył książkę również w rozdział mówiący o działalności przedwojennej. Tak więc otrzymujemy autobiografię prowadzoną od lat dziecięcych do 1945 roku.

Lata międzywojenne autor spędził we Lwowie, gdzie ukończył polonistykę pod auspicjami Juliusza Kleinera. Opozycja wobec drobnomieszczańskiego środowiska domowego i wobec endeckich korporantów na Uniwersytecie doprowadziła go wkrótce do komunizmu. Komunizm zastąpił mu religię, myśl o karierze i kult pieniądza. Wybitna działalność rewolucyjna spowodowała wkrótce represje. Po procesie w Stanisławowie osadzono M. Naszkowskiego w więzieniu w Rawiczu. Tak jak Buczek i Lampe wyszedł stamtąd we wrześniu 1939 r. Przedarł się przez granicę do Lwowa (po drodze przygarnął go towarzysze łódzcy w naszym mieście) i pracował tam w „Czerwonym Sztandarze". Napaść hitlerowców na Związek Radziecki spowodowała tułaczkę autora po Związku Radzieckim. Na Kubaniu zmarło mu dziecko. W straszliwych warunkach autor dążył do środowisk, w których spodziewał się spotkać byłych kapepowców. W Saratowie spotkał towarzyszy i pracował w rozgłośni polskiej. Gdy uformowała się I Dywizja, poszedł do Sielc i wrócił do kraju z I, a potem II Armią.

Doświadczenia kapepowca-rewolucjonisty, tułacza, wojskowego były nieraz ciężkie, lecz autor zdaje z nich sprawę w sposób niezwykle dojrzały. Jego przekonania są bardzo głębokie, utwierdzone przez osobiste cierpienia. Autor wzorem pisarzy-statystów łączy szerokie oceny społeczno-polityczne opisywanych zdarzeń ze szczerą ludzką relacją o własnym losie. O ludziach stara się pisać dobrze, a błędy epoki — zrozumieć i wytłumaczyć. Czytelnik widzi, że ta postawa była dla rozwoju osobowości autora pożyteczna. I wtedy przychodzi refleksja, że było to również pożyteczne dla sprawy, którą reprezentował autor.

J. T.

M. Naszkowski: „Lata próby". Książka i Wiedza, 1965; s. 450.

„ANGLIA U PROGU DEMOKRACJI"

Chociaż „Półka z książkami" przeznaczona jest zasadniczo na omawianie nowości literatury pięknej, godzi się od czasu do czasu odstąpić od tej zasady. Zwłaszcza wtedy, gdy jest do zasygnalizowania dzieło, które z równym pożytkiem weźmie do ręki uczony specjalista, jak i każdy inteligentny czytelnik. Znany łódzki historyk, profesor UŁ, Henryk Katz, wydał właśnie taką książkę. „Anglia u progu demokracji" jest dziełem imponującym pod każdym względem. W przedmowie do swej pracy Henryk Katz pisze: „W obecnym stadium skupiłem się na charakterystyce możliwie wszystkich grup społecznych i sił politycznych, ze szczególnym uwzględnieniem warstw wyższych i średnich, dominujących w ówczesnej Anglii. Interesowały mnie ich wpływy i władza, ich idee, wierzenia i opinie, motywy, którymi kierowały się poszczególne grupy i przynależące do nich osobistości w podejmowaniu decyzji, oraz mechanizm rządzenia". Autora niniejszej noty szczególnie zainteresował rozdział pt. „Kultura i polityka", w którym Henryk Katz omawia takie sprawy, jak religia, oświata, prasa i opinia publiczna, idee społeczne, intelektualiści.

Dziwi natomiast fakt, że tak pasjonującą i ciekawą książkę wydano w nakładzie zaledwie 1.750 egzemplarzy. Rzecz zupełnie niepojęta.

J. K.

Henryk Katz: „Anglia u progu demokracji". Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1965, str. 546.

„LOT NAD ŚWIATEM"

Otrzymaliśmy nową książkę Stanisława Kowalewskiego pt. „Lot nad światem", wydaną przez Wydawnictwo „Iskry" i składającą się z 4 opowiadań i jednej komedii. Tytułowe opowiadanie, jest tym opowiadaniem, które przykuwa czytelnika do książki już od pierwszych słów. Jest to opowiadanie niecodzienne. Ta jego inność polega przede wszystkim na umiejętnym operowaniu słowem tak charakterystycznym dla świata przestępczego. Jest to swoisty żargon, skrócona forma zdania, przenośnia, a nade wszystko lakoniczność, za którą nieraz kryją się sprawy ważne i decydujące.

W chwili obecnej, gdy toczą się dyskusje wśród prawników, pedagogów i psychologów na temat dzisiejszej, szczególnie tej „trudnej", młodzieży, temat jaki porusza Kowalewski jest jak najbardziej na czasie. Autor umiał podpatrzyć i zajrzeć daleko głębiej w psychikę młodocianego przestępcy niż to udaje się niekiedy otoczeniu, rodzinie czy wychowawcom.

Pozostałe opowiadania, choć nie są tak pasjonujące, jednak napisane są z kulturą, powściągliwie i z dużą znajomością ludzkich charakterów. „Lot nad światem" nie stanie się na pewno ciou sezonu, ale będzie z przyjemnością czytany przez szeroki ogół czytelników.

E. L.

Stanisław Kowalewski: „Lot nad światem". Wyd. „Iskry", Warszawa, 1964. Str. 152. Cena 12 zł.

Norman Mailer, autor głośnej książki o wojnie na Pacyfiku pt. „Nadzy i martwi" został w roku 1960 uznany przez psychiatrów za niepoczytalnego. Lekarze zgodnie stwierdzili u niego manię prześladowczą, skłonności samobójcze i obsesję morderstwa. Na podstawie tej diagnozy Mailer został na jakiś czas skierowany na obserwację do zakładu dla obłąkanych.

Diagnoza lekarska uchroniła pisarza od poważniejszych konsekwencji, groził mu bowiem proces sądowy o usiłowanie zabójstwa, wytoczony przez drugą jego żonę, Adelę, która leczyła właśnie w jednym z nowojorskich szpitali poważne rany, jakie Norman zadał jej nożem.

Popularność Mailera opierała się wówczas na jego pierwszej powieści — „Nadzy i martwi", i na rozreklamowanej przez prasę ekstrawaganckiej, kabotyńskiej nawet brutalności, która młody pisarz zadziwiał opinię publiczną. Dalsze jego książki — („Wybrzeże barbarzyństwa" — 1951; „Reklama dla mnie samego" — 1959; „Notatki dla prezydenta" — 1964) zostały zauważone przez krytykę i czytelników tylko na zasadzie rozczarowania, jakie sprawiły w porównaniu ze słynnym wojennym eposem. Coraz mniej również miejsca poświęcała prasa stylowi życia Mailera, burdom, czy wygłaszanym w publicznych miejscach groteskowym przemówieniom na cześć orgazmu. Wydawało się, że Mailer już raz na zawsze pomnożył smętne szeregi „pisarzy jednej książki".

Ale oto ukazała się w Nowym Jorku nowa powieść Mailera, („An American Dream" — „Amerykański sen"), która na długo zapewne wejdzie na listę bestsellerów. Mailer, który kiedyś skarżył się, że ogromny sukces „Nagich i martwych" wykoleił go i uczynił zeń przedwcześnie postarzałego mizantropa, stwierdza dziś wyraźnie, że jego nowa książka nie ma takich ambicji artystycznych jak „Nadzy i martwi", stanowi natomiast rodzaj psychologicznej wiwisekcji dokonywanej i na sobie i na całym swym pokoleniu. Bohaterem powieści jest „uformowany na własny wzór i podobieństwo" supermann Rojack profesor psychologii egzystencjalnej, zarazem gwiazda telewizyjna i mąż pewnej multimilionerki, nimfomanki. „Rojack jest psychicznie do mnie podobny" — mówi Mailer, i na pierwszych już stronach powieści, każe temu bohaterowi tak zaczynać historię swego konfliktu ze społeczeństwem: „Spotkałem Johna Kennedy'ego w 1946 roku. Byliśmy bohaterami minionej wojny, obaj zasiadaliśmy w Kongresie. Pewnego wieczoru umówiliśmy się razem na podwójne rendez-vous, które dla mnie okazało się przyjemnym wieczorem, uwiodłem bowiem wówczas pewną dziewczynę..."

Czytelnik jeszcze nie ochłonie od tego dziwnego chwytu stylistycznego, który do brutalnej, erotycznej fabuły wprowadza postać nieżyjącego prezydenta, a już na

następnych kartkach książki czekają go nowe mocne przeżycia: Telewizyjny profesor, tak podobny pod względem psychicznym do autora, morduje swą żonę — nimfomankę i finguje jej samobójstwo, uwodząc w międzyczasie infantylną pokojówkę. Tak zaczyna się ten literacki amok, w którym nie zabraknie niczego: w trzydziestu dwóch godzinach zamykających akcję powieści Rojack da sobie radę i z policją i z gangsterską mafią, pokona zawodowego boksera w walce na pięści, stoczy zwycięską walkę z jakimś Murzynem uzbrojonym w ogromny nóż, przeprowadzi wykład i praktyczne ćwiczenia na temat orgazmu i da pewnej śpiewaczce kabaretowej przeżyć chwile nie porównywalnego szczęścia. Wreszcie na wysokości trzydziestego piętra raz jeszcze wypróbuje wytrzymałość swych nerwów przechodząc po wąskim parapecie w murze, po czym pozostanie mu już tylko jedno! Wyjedzie więc z Nowego Jorku do Jukatanu, by tam, na pustyni, zacząć życie od nowa.

A czytelnikom i krytykom pozostanie do rozwiązania szczególna zagadka: Co w książce wywodzi się z niezaprzeczalnego talentu, z jakim był napisany wielki epos wojny na Pacyfiku, a co jest tylko kalką powieści kryminalnych Chandlera czy Spillane'a i parafrazą komiksów.

„Jeśli mam jakąś ambicję" — powiedział Mailer po ukazaniu się ostatniej jego książki — „to tylko tę, by napisać powieść, o przeczytaniu jakiej marzyli Dostojewski i Marks, Joyce i Freud, Stendhal, Tołstoj i Proust, Faulkner i coraz bardziej nam próchniejący Hemingway". Nie uda się nam oczywiście sprawdzić czy „An American Dream" okaże się taką właśnie książką. Udało się natomiast Mailerowi raz jeszcze udowodnić, jak bardzo opłaca się pisarzom na Zachodzie łączyć seks i przestępstwo: bowiem prawa sfilmowania swej ostatniej ksiażki Mailer już sprzedał za bliżej nieokreślona, ale zawrotną ponoć sumę.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

Jeszcze do niedawna wycieczkowicze odwiedzający Wieluń mogli nabyć w każdym kiosku widokówkę Biura Wydawniczego „Ruch", przedstawiającą klasycystyczny ratusz miejscowy z r. 1843. Nad zabytkowym gmachem górowała potężna wieża z dwoma zegarami, które zostały tu przeniesione z jednego z kościołów, zbombardowanego przez Niemców w pierwszych dniach II wojny światowej. Osobliwością owej wieży było to, że jak wskazywały na to wszelkie dane, została wzniesiona już w w. XIV, musiała niewątpliwie należeć do kompleksu obronnego z czasów Kazimierza Wielkiego, który w r. 1350—51 rozkazał postawić w Wieluniu zamek warowny i otoczyć miasto murami.

W ostatnich dniach widokówka jest w ogóle niedostępna w sprzedaży kioskowej, na tzw. zaś wolnym rynku cena jej mnie się nieustannie do góry, radzę więc przyjezdnemu zrezygnować z jej nabycia. Co smutniejsze, wycieczkowicz będzie musiał zrezygnować z obejrzenia i samej wieży in nature. Którejś nocy marcowej rb., jak już o tym zresztą donosiła prasa codzienna, najpierw podejrzane trzaski, a następnie potężny huk poderwały miasto na nogi — to właśnie runęła wieża ratuszowa licząca sobie lat z górą 600. Zwaliska otoczone zostały natychmiast parkanem z długich desek, a w środku przypadkiem ocalałego ratusza rozłożyła się z narzędziami brygada murarzy naprawiających wyrwy w murze spowodowane zawaleniem się wieży.

Nie byłoby w tym wszystkim nic nadzwyczajnego, gdyby dziwnym losu trafieniem, odgłosy walącej się wieży nie przeniosły się na miasto, nie zaczęły się odbijać głośnym echem w starych uliczkach, aby wreszcie zamienić się w poszumek, który słychać jeszcze do tej pory, gdy się tylko nadstawi nieco uszu. Chodzi o to, że stara wieża na krótko przed swym serdecznym końcem znajdowała się w remoncie; ściślej, prowadzono roboty zapobiegawcze, które powinno się rozpocząć jakaś setkę lat temu, a które naturalną rzeczy koleją rozpoczęto dopiero w r. ub. Tym niemniej brygada budowlana zabezpieczyła fundamenty wieży i zabierała się do remontu elewacji, gdy nagle stanęła przed problemem bezrobocia — jak to sobie łatwo wyobrazić, gdy zabrakło wieży, zabrakło też i elewacji.

Co drugi obywatel miasta Wielunia kojarzy sobie serdeczny koniec wieży z chwalebnym początkiem prac zapobiegawczych. Poszumek głosi, że robotnicy podkopali fundamenty, że wreszcie decydujący był fakt przebudowy dwu przypór, które notabene pełniły funkcje czysto zdobnicze. Gwoli sprawiedliwości przytoczmy tu jednak orzeczenie specjalnej komisji z konserwatorem wojewódzkim zabytków na czele, która wkroczyła na gruzowisko. Otóż nie ulega wątpliwości, że wieża została rozsadzona przez lód, który wdarł się tego roku we wszystkie szczeliny w murach. Tym bardziej, że jak się okazało „murami nośnymi były faktycznie tylko okładziny licowe części kamiennej wieży".

Miejmy nadzieję, że poszumek, który połączył sporą część wieluńskich obywateli przeciw brygadzie prowadzącej roboty zapobiegawcze, połączy ich teraz w jakiś dostojny komitet odbudowy cennego zabytku.

Nieoczekiwanie na amerykańskim rynku wydawniczym wśród bestsellerów znalazła się ostatnio książka o charakterze naukowym: jest to praca Hectora Chevigny pt. „ROSYJSKA AMERYKA". Autor jest historykiem i w swym rzeczowo udokumentowanym studium przypomina czasy, kiedy granice Rosji leżały ledwie o sto mil od San Francisco. Rosyjskie statki zawijały wówczas regularnie do Nowego Archangielska (obecna nazwa — Sitka), szybko rozbudowującego się portu, w którym działały dwa naukowe instytuty, publiczna biblioteka i wyższa uczelnia, a także teatr i kasyno gry. Nowy Archangielsk był najdalej na południe wysuniętą osadą założoną przez Rosjan na kontynencie amerykańskim. W roku 1867 Rosja odprzedała Stanom Zjednoczonym port i inne amerykańskie terytoria licząc po 12 dolarów za milę kwadratową i uzyskując za ogromne obszary śmieszną cenę 7.200.000 dolarów.

Port w Nowym Archangielsku

Niemal dziś zapomniana historia rosyjskich posiadłości w Ameryce sięga roku 1741 i została zapoczątkowana przez ekspedycję szukającą dróg łączących Azję z Ameryką. Wbrew początkowym hipotezom połączenia lądowego obu kontynentów nie odnaleziono, natomiast do Moskwy i Petersburga zaczęły napływać wiadomości o niezwykłych bogactwach terenów łowieckich Alaski. Ale dopiero w 1810 roku okręt rosyjski zarzucił kotwicę w porcie Nowego Archangielska faktycznie rozpoczynając sześćdziesięcioletni okres rosyjskiego władania Alaską.

Mimo iż Nowy Archangielsk, a także i inne mniejsze osady myśliwskie rozwijały się wcale nieźle, dwór petersburski niechętnym okiem patrzył na tę najdalej na wschód wysuniętą cząstkę carskiego imperium. Na Alasce tworzyło się bowiem szczególne społeczeństwo tzw. „promyszlenników", nie przywiązujące zbytniej wagi do istniejącego w Rosji układu społecznego i lekceważące tytuły szlacheckie. Niełaska Petersburga dawała o sobie znać zarówno w ograniczeniach i zakazach imigracyjnych jak i w nieustannych szykanach. Tak np. Aleksander Baranow, gubernator Nowego Archangielska po 27 latach owocnej pracy, w czasie której bulwary nadbrzeżne i twierdza nadały osadzie typowy dla dużych rosyjskich portów wygląd, popadł w niełaskę z powodu jakichś błahych niedopatrzeń i został skazany na wysiedlenie. Od 1819 roku coraz częściej mówiło się w Petersburgu, że przekazanie Alaski Stanom Zjednoczonym jest już tylko kwestią czasu. Po roku 1860 doradcy cara ujrzeli w tym pociągnięciu dyplomatycznym pewny sposób na odzyskanie amerykańskich sympatii. Wreszcie w 1866 roku rozpoczęły się pertraktacje.

Lecz jak na ironię okazało się, że Amerykanie wcale nie kwapią się do tego interesu. Specjalny komitet powołany przez Izbę Reprezentantów Stanów Zjednoczonych stwierdził nawet kategorycznie, że Alaska jest terenem bezwartościowym i nie nadającym się do zamieszkania dla cywilizowanych ludzi. Mimo to umowa kupna-sprzedaży została zawarta, ale Rosja i tak musiała czekać 15 miesięcy na swe nędzne 7 milionów dolarów. A wtedy zamiast pełnych praw obywatelskich, zagwarantowanych w umowie dla Rosjan zamieszkujących Alaskę, zaczął się czas dzikiej militarnej okupacji. Żołnierze amerykańscy Dalekiej Północy — w tych czasach przeważnie awanturnicy i kryminaliści — wsławili się grabieżą cerkwi i gwałceniem żon i córek rosyjskich rybaków. Dosłownie: „U.S. Troops looted Russian churches and raped their women").

Dziś po 126 latach — na Alasce pozostały już tylko nieliczne ślady przypominające epokę rosyjską: parę słowiańskich nazw i nieliczne ruiny cerkiewek.

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Ta już nazbyt trącąca myszką komedia, jaką jest „Klub kawalerów" Michała Bałuckiego, byłaby chyba trudna do wysłuchania na deskach scenicznych. Natomiast w teatrze TV przy szybko zmieniających się scenach i świetnej grze aktorskiej na pograniczu komedio-farsy dała się słuchać. Ponadto, dzięki wykonawcom, którzy bawiąc się sami w rolach galicyjskich kołtunów bawili jednocześnie widzów, staroświecki humor sztuki nabrał rumieńców.

WTOREK

Pracownie Sztuk Plastycznych nadesłały nam komunikat, że we wrześniu br. zostaną otwarte w Warszawie dwie wystawy: Muzeum Kultury Fizycznej i Ekspozycja Teatralna. Ta druga będzie urządzona w starej części gmachu Opery w tzw. Salach Redutowych. Wcale mnie ta wiadomość, przyznam szczerze, nie ucieszyła. Bo przecież Sale Redutowe były miejscem, gdzie w okresie międzywojennym znalazł siedzibę sławny Teatr Reduty Juliusza Osterwy. Dlaczego więc odnośne władze nie poszły po wytyczonej pięknej linii tradycji i nie wznowiły dawnej „Reduty"? Doszły nas tu, prowincjuszy, nie sprawdzone wieści (przepraszam, może to plotki?), jakoby dyrektor Kazimierz Dejmek zabiegał o przyznanie mu Sal Redutowych na teatr przy Teatrze Narodowym, ale spotkać się miał z odmową (jeżeli to warszawska plotka, to chętnie sprostujemy!). Gdyby to było prawdą, to szkoda, że ani argumenty poszanowania tradycji, ani wyraźne „bezrobocie" wśród aktorów zaangażowanych, ale czekających miesiącami na role (exempium: Andrzej Szalawski wykorzystywany w małych rólkach, jak na przykład w telewizyjnym „Dymie", o czym pisałem w poprzednim Notatniku) nie skłoniły miarodajne osobistości do przyjęcia ze wszech miar słusznej propozycji dyrektora Dejmka.

ŚRODA

Leszek Rózga to plastyk, który ma wśród łodzian wielu sympatyków. W jego obrazach, akwafortach i linorytach jest jakiś urzekający nastrój przyjaźni do szarego człowieka. Mnie, osobiście, gdy patrzę na płótna Leszka Rózgi przychodzi na myśl Czechow z jego subtelnym, głęboko ludzkim stosunkiem do świata. Z ciekawą inicjatywą wystąpiło Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych otwierając wystawę prac graficznych artysty w kuluarach Teatru Nowego. To zbliży niewątpliwie grafikę Leszka Rózgi do tzw. szerokich mas. Ale mała uwaga! Dlaczego rozwieszono obrazy w kuluarach balkonu drugiego piętra? Przecież i w wielkiej sali na I piętrze można było wybrać jedną ścianę. Piszę o tym dlatego, że dzisiejsza młodzież jest nader wygodna i nie każdemu z nastolatków będzie się chciało wchodzić na II piętro, aby obejrzeć grafikę artysty. W antrakcie przedstawienia widziałem na górze starsze panie i starszych panów, podczas gdy młodzieży można było szukać ze świecą w ręku. To zrodziło moje wyrażone wyżej wątpliwości. Przepraszam.

CZWARTEK

Wydawnictwo „Sport i Turystyka" wydało album fotograficzny „Łódź" z interesującym wstępem Jana Koprowskiego. Ale wszystko, co tam jest ciekawego, to tylko artykuł Koprowskiego. Bo fotografie mnie nie zachwyciły: Łódź wyszła na nich wymuskana, wykosmetykowana i w ogóle ogromnie „cacy", jak Ciechocinek, a nie — jak wielkie fabryczne miasto. Fotograficy nie uchwycili cech charakterystycznych miasta, jego nerwowego przemysłowego tempa. Maskując za wszelką cenę niedostatki urbanistyczne, „lakierując" je, zgubili prawdziwy wygląd Łodzi. Dlaczego, na przykład, nie pokazano historycznego Grand-Hotelu, ani tak charakterystycznych ulic jak — Kilińskiego, Kopernika, Millonowej? Dlaczego nie zademonstrowano dworców, nie pokazano ani jednego teatru, Biblioteki im. Waryńskiego, wieżowca przy ul. Sienkiewicza? Słyszę odpowiedź: względy propagandowe. Ale propaganda mijająca się z prawdą to antypropaganda, proszę panów!

PIĄTEK

Dzisiaj — o kulturze i zabawkach dla dzieci. Czy wiecie Państwo, że minęła moda na urodziwe porcelanowe lalki? Dotychczas znaliśmy pejoratywny termin „lalkowata uroda" i to się zgadzało z wyglądem lalek ofiarowywanych naszym milusińskim. Dziś jednak „ostatnim krzykiem" w Europie zachodniej jest lalka-brzydula.

SOBOTA

(Dalszy ciąg niezmiernie interesującej rozprawki o lalkach-brzydulach). Czy lalkę-brzydulę kupuje się po to, aby dowieść, że miłość matczyna nie patrzy na piękno fizyczne? Nic podobnego! Do lalki-brzyduli kupuje się cały arsenał sprzętów, przy pomocy których można jej skrócić nos, wyłupać kaprawe oczy zastępując innymi, ufarbować włosy i zrobić nowe usta à la Claudia Cardinale lub biust à la Brigitte Bardot. Ależ to niemoralne! oburza się prasa szwajcarska. W ten sposób demoralizujemy nasze 5- i 6-letnie pociechy! Nie dziwmy się też, jeśli z nich wyrosną kokietki! Sprawa jednak staje się poważna z innego względu. Dziennikarz szwajcarski wychodzi z założenia, że niebezpieczeństwo tkwi gdzie indziej, a mianowicie w tym, że przedwcześnie uczymy dzieciaki małpowania ludzi dorosłych na przykładzie kosmetyki. A przecież my, dorośli, nie jesteśmy dla dzieci ideałem do naśladowania!

NIEDZIELA

W numerze 6 „Teatru" ciekawy problem porusza Andrzej Władysław Kral ex re sztuki Jerzego Broszkiewicza „Przychodzę opowiedzieć" (najsłabszej, jego zdaniem, z dotychczasowych sztuk tego autora!). Kral chwali Erwina Axera i Teatr Współczesny, który udowodnił „możliwość dobrego teatru w zakresie podźwignięcia złego materiału literackiego do pewnej rangi i poziomu". Na marginesie tych uwag nasuwa się smutna refleksja o obojętności, jaką w bieżącym sezonie wykazują łódzkie teatry wobec polskich autorów i debiutów. Przecież poza wypróbowanym Mrożkiem w Teatrze Nowym — ani jednej polskiej sztuki w ciągu niemal półrocza. Natomiast na sztuki obce i to mierznej wartości, jak „Ostatnia stacja" albo „Osiem kobiet" miejsc w planie programowym jakoś nie zabrakło.

ARYSTARCH

RAY BRADBURY

WYJEC

Pośród zimnych fal, z dala od brzegu, każdego wieczoru czekaliśmy, kiedy przyczołga się mgła. I przypełzała, a my — Macdan i ja — smarowaliśmy miedziane łożyska i włączaliśmy latarnię znajdującą się na szczycie murowanej wieży.

Czerwony promień... biały... i znowu czerwony szuka we mgle samotnych statków. A jeśli nie zobacza smugi światła, mamy jeszcze Głos — potężny, niski głos naszego Wyjca. Przedziera się, donośny, poprzez strzępy mgły, a przerażone mewy rozlatują się jak podrzucone do góry karty, a fale jeżą się sycząc piana.

— Mam nadzieję, że już przyzwyczaiłeś się do tej naszej pustelni — powiedział Macdan.

— Tak. Całe szczęście, że potrafisz ładnie opowiadać.

— Jutro twoja kolej jechać na Wielką Ziemię — uśmiechnął się. — Będziesz tańczył z dziewczętami, pił gin.

— Powiedz, Macdan, o czym myślisz, kiedy zostajesz sam?

— O tajemnicach morza — Macdan zapalił fajkę.

Piętnaście po ósmej. Zimny listopadowy wieczór, ogrzewanie włączone, latarnia rozrzuca swoje promienie na wszystkie strony W długim gardle wieży ryczy Wyjec. Na brzegu nawet w odległości stu mil nie ma ani jednej osady, tylko droga z przejeżdżającymi czasem samochodami, samotnie przez pustkę zdąża ku morzu, a potem dwie mile zimnej wody i nasza skała.

— Tajemnice morza — powiedział w zamyśleniu Macdan. — Czy wiesz, że ocean jest olbrzymim płatkiem śniegu, największym płatkiem śniegu na świecie? Ciągle w ruchu, tysiące niepowtarzalnych barw i kształtów. Zdumiewające! Pewnej nocy, wiele lat temu, byłem tu sam i wtedy zobaczyłem jak z głębi wychodzą ryby, wszystkie ryby morza. Coś je tu sprowadziło do naszej zatoki. Krążyły i patrzyły, patrzyły na naszą latarnię, czerwone — białe, czerwone — białe światło nad nimi, i ja widziałem ich dziwne oczy. Przebiegł mnie dreszcz. Do samej północy jakby paw ogon pływał w morzu. I nagle — bezgłośnie — znikły, tyle milionów ryb zapadło się. Nie wiem, może one przypłynęły tutaj z daleka na pielgrzymkę. Zdumiewające! I więcej nie wróciły. Bardzo możliwe, że nasza latarnia przyjęły za swojego rybiego boga.

Poczułem się trochę nieswojo. Patrzyłem na znikające gdzieś w dali morze.

— Tak, ile tajemnic kryje w sobie morze... — Macdan nerwowo pykał z fajki i mrugał oczyma. Tego dnia był czymś zaniepokojony, ale nic nie mówił. — Jeszcze wiele lat minie nim zejdziemy na ziemię podwodnego królestwa, wedrzemy się do zatopionego świata i dowiemy się, jaki jest prawdziwy **strach**. Pomyśl tylko: tam na dole jest zaledwie 300 000 rok przed naszą erą!

— Tak, masz rację.

— Chodźmy, muszę ci coś powiedzieć.

Weszliśmy na górę i wtedy Macdan wyłączył wewnętrzne oświetlenie. Olbrzymie oko latarni miękko krążyło, warcząc, na posmarowanej osi. Co piętnaście sekund huczał Wyjec.

— Zupełnie jak zwierzę — Macdan pokiwał głową. — Ryczące noca wielkie samotne zwierzę. Leży na granicy miliardów lat i wyje w stronę Otchłani: tutaj jestem, tutaj, tutaj... A Otchłań mu odpowiada — tak, tak, odpowiada! John, jesteś tu trzy miesiące i najwyższy czas by ci o tym powiedzieć. Widzisz — patrzył na ciemność i mgłę — o tej porze roku do naszej latarni zawsze przychodzi gość.

— Ławice ryb o których mówiłeś?

— Nie, to nie ryby. Nie mówiłem ci o tym, bo wtedy mógłbyś pomyśleć, że jestem nienormalny. Teraz nie będę ci opowiadał żadnych szczegółów. Wszystko zobaczysz sam. Usiądź i czekaj.

Minęło pół godziny. Od czasu do czasu wymienialiśmy szeptem kilka słów. Wreszcie zmęczyliśmy się oczekiwaniem i Macdan zaczął dzielić się ze mną swoimi przypuszczeniami. Mówił o Wyjcu.

— Patrz — krzyknął.

Wyciągnął rękę w stronę morza.

Coś płynęło w kierunku latarni morskiej.

Jak już mówiłem, była to chłodna noc i wysoko na wieży zimno było, światło przygasało to znów wybuchało jaśniejszym płomieniem, ryczał Wyjec i krzykiem swoim przebijał skłębioną mgłę. Widoczność była słaba, ale i tak oprócz morza niczego nie było dokoła. I nagle nad zimną powierzchnią — głowa, wielka ciemna głowa z ogromnymi oczyma, i szyja. A potem nie, nie ciało, tylko szyja, i znowu i znowu! Czterdzieści stóp nad wodą znajdowała się głowa na pięknej wysmukłej ciemnej szyi. I dopiero potem z otchłani wynurzyło się ciało jak wyspa z czarnych korali. Moim zdaniem, potwór miał około 90 stóp długości.

Nie wiem co powiedziałem, ale powiedziałem coś.

— Spokojnie chłopcze, spokojnie — szepnął Macdan.

— To nieprawdopodobne! — wykrzyknąłem.

— Mylisz się, John, to **my** jesteśmy nieprawdopodobni. **On** pozostał takim, jakim był miliony lat temu. **On** się nie zmienił. To **my** i wszystko wokół nas uległo zmianie. **My!**

Bardzo wolno i majestatycznie potwór płynął w lodowatej wodzie tam w oddali. Jego oko chwytało, zatrzymywało i odbijało nasze potężne promienie, czerwone — białe, czerwone — białe. Wydawało się, że ten wyciągnięty nad wodą dysk przekazuje coś tajemniczym, dawnym szyfrem. Potwór był milczący jak mgła przez którą płynął.

— Dinozaur!

— Tak, to jeden z nich.

— Ależ one wymarły!

— Nie, po prostu odeszły w otchłań, bardzo głęboko. Prawda, John, że to dobitne słowo, a ile w nim treści: Otchłań. W nim całe zimno, cała ciemność i wszystka głębia świata.

— Co teraz zrobimy?

— Nic. Nie możemy stąd odejść. Tutaj bezpieczniej niż w łódce. Muszę ci powiedzieć, że to zwierzę bardzo szybko pływa.

— Dlaczego ono przychodzi właśnie tu?

W następnej chwili otrzymałem odpowiedź.

Wyjec zaryczał.

I potwór mu odpowiedział.

W tym krzyku były miliony lat wody i mgły. Było w nim tyle bólu i samotności, że aż drgnąłem. Potwór krzyczał do wieży. Wyjec ryczał. Potwór znowu krzyknął. Wyjec ryczał. Potwór otworzył ogromną zębatą paszczę, a z niej wydobył się dźwięk do złudzenia przypominający głos naszego Wyjca. Samotny, potężny, bardzo daleki. Głos rozpaczy, gęstej ciemności, zimnej nocy, opuszczenia. Oto jaki był ten dźwięk.

— No — szepnął Macdan — czy teraz rozumiesz po co on tu przychodzi?

Skinąłem głową.

— Cały rok biedny potwór leży na dnie, tysiące mil od brzegu, na głębokości dwudziestu mil, i czeka. To samotne zwierzę ma około miliona lat. Wyobraź sobie: czekać milion lat. Mógłbyś? A może ono jest ostatnie z rodu. Tak mi się wydaje. I oto pięć lat temu przyszli ludzie i zbudowali tę latarnię. Postawili swojego Wyjca i on ryczy, ryczy nad Otchłanią i woła, a potwór wypływa z dna, pokonuje tysiące mil, bardzo wolno by nie zmiażdżyło go ciśnienie, płynie jeden miesiąc, drugi, we wrześniu kiedy zaczynają się mgły, w październiku, kiedy mgły już są bardzo gęste, a Wyjec wciąż woła. I wreszcie gdy jego ciało zaaklimatyzowało się, przywykło do otaczającego je ciśnienia — wynurza się powoli, z szybkością kilku stóp na godzinę. Wynurza się powoli — bo nagły skok grozi mu rozerwaniem. Dlatego trzy miesiące wypływa by znaleźć się na powierzchni. I oto największy potwór jakiego zna Ziemia płynie w stronę wąskiej szyi latarni morskiej, która przywołuje go jego głosem. Rozumiesz, John, rozumiesz teraz?

Wyjec zaryczał.

Potwór odpowiedział mu.

Zrozumiałem wszystko: miliony lat oczekiwania — kiedy wreszcie, kiedy wróci ten, który gdzieś tam istnieje? Miliony lat samotności na dnie morza, obledna liczba wieków w Otchłani. Na niebie nie ma już latających jaszczurów, na kontynentach wypłowiały błotą, lemury i ostrozębne tygrysy wymarły i ugrzęzły w asfaltowych kałużach, a na wzgórzach jak białe mrówki poczęli krzątać się ludzie.

Wycie Wyjca.

— W ubiegłym roku — mówił Macdan — to bydlę całą noc pływało dokoła. Blisko nie podchodziło. Może się bało. I złościło się: to nie byle co tyle przepłynąć! A kiedy zaświeciło słońce — już go nie było.

Potwór znajdował się w odległości stu jardów i krzyczał i Wyjec też krzyczał.

— Takie jest życie — powiedział Macdan — ciągle powtarza się to samo: ktoś czeka, ale oczekiwany nie przychodzi. Zawsze tak jest, że jedna strona kocha bardziej. I bywają chwile, że chciałoby się zniszczyć to co się kocha i usunąć źródło swojego niepokoju.

Potwór rzucił się na naszą latarnię.

Wyjec ryczał.

— Zobaczymy co teraz będzie — mruknął Macdan.

Było tak cicho, że słyszeliśmy bicie własnych serc i wietrze mdlącym zapachem swojego ciała, bezradnie leżało nad nami oddzielone jedynie warstwą cegieł. Potwór krzyczał aż do utraty tchu. Wieża zniknęła, nie było też światła i głosu, który wzywał go przez miliony lat. I potwór ryczał, ryczał potężnym głosem Wyjca, a okręty przepływające w pobliżu tej nocy chociaż nie widziały światła — słyszały głos. I marynarze myśleli: Oto samotny głos Wyjca w zatoce Lonesome! W porządku. Mijamy przylądek.

I tak trwało do rana.

Gorące żółte słońce było już daleko na zachodzie, kiedy przybyła drużyna ratownicza i wyciągnęła nas spod stosu kamieni.

— Wieża była stara, wysłużyła się. To fale ją przewróciły — powiedział Macdan ponurym głosem.

Uszczypnął mnie w rękę.

Nie było żadnych śladów. Spokojne morze, błękitne niebo i ostry zapach wodorostów na ruinach wieży i przybrzeżnych skałach. Brzęczały muchy. Zatopiony w sobie leżał zupełnie pusty ocean.

Następnego roku z żelazobetonu zbudowano nową latarnię morską.

— Na wszelki wypadek — tłumaczył Macdan.

A potwór?

Więcej się nie pojawiał.

— Odszedł w Otchłań — mówił Macdan. — Przekonał się, że na tym świecie nie można zbyt mocno kochać. Dlatego odszedł, żeby czekać jeszcze milion lat. Biedaczysko Musi ciągle czekać...

Pewnego razu przyjechałem na brzeg i siedząc w samochodzie słuchałem. Nie widziałem wieży ani smugi światła nad Lonesome-bay. Tylko słuchałem Wyjca, Wyjca, Wyjca. Wydawało mi się, że to ryczy potwór.

Chciałem coś powiedzieć, ale co?

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

TAKI KLIMAT

Nie wybieraliśmy sobie ani miejsca na świecie, ani związanego z tym miejscem klimatu. Żyć można, ludzie żyją i są szczęśliwi przy znacznie większej średniej ilości opadów, mniejszej liczbie dni słonecznych, niższej przeciętnej temperaturze. Żyć można. Są jednak różne specyficzne sprawy, których trudno nie brać pod uwagę.

U nas tylko trzy miesiące zimy, osiem ni tego ni owego, a poza tym lato i lato. Budujemy więc domy jak Włosi — z wielkimi oknami i z loggiami w każdym pokoju. Loggia zmniejsza powierzchnię pokoju, ale za to go zacienia, co Włosi wielce sobie cenią. My zaś cenimy Włochów. Cenimy też Hiszpanów i nakrywamy domy płaskimi dachami, z których potem śnieg nie spływa do rynny, tylko przesiąka wprost przez sufit. Być może, że Hiszpani o tym nie pomyśleli, nie każdy z nich wie co to jest śnieg.

Mnóstwo instytucji rzuciło się na budowę ośrodków campingowych, tak pięknie wyglądających na prospektach francuskich i amerykańskich biur podróży. Ośrodki będą przez co najmniej trzy kwartały pleśnieć i grzybem porastać, a i poza tym — w piękne czerwcowe noce — ich chwilowi mieszkańcy będą sobie zębami do snu przygrywać.

Chodziliśmy do niedawna — na rzymską modlę — z odkrytymi głowami jak rok okrągły, ku wielkiej uciesze prywatnie praktykujących laryngologów, którzy nadążyć nie mogli z punkcjami zatok. Chodzimy w klejonych bucikach na milimetrowej podeszwie po marcowych i listopadowych kałużach, które nie chcą schnąć tak szybko jak kałuże w Monte Carlo i na Florydzie. Pod jednym tylko względem jesteśmy realistami: bierzemy urlop w lipcu lub sierpniu.

Wcale nie chcę gromić z wysoka i piętnować tego lipcowo-sierpniowego pędu. Przyczyny są przecież całkiem zrozumiałe: taki klimat. A oprócz klimatu — wakacje szkolne. Kolonie i obozy trwają miesiąc, to co — trzymać cały drugi miesiąc dzieciaka w mieście? Łatwiej urządza się cała rodzina razem, niż każde z nich osobno. Więc żona prosi o urlop w lipcu, bo chciałaby z mężem i z dziećmi, a mąż — o urlop w lipcu, bo chciałby z żoną i z dziećmi.

Dwie trzecie Polski idzie na urlop, tłok z tramwajów i autobusów miejskich przenosi się na pociągi i do Sopotu. Wysokie urzędy centralne rozsyłają pośpiesznie polecenia i wytyczne do planu na rok następny i zamykają biurka, a niższe urzędy prowincjonalne pocą się przez najlepsze miesiące nad przygotowaniem milionów cyfr w tysiącach różnych zestawień. We wrześniu, po powrocie czynników z wypoczynku, wytyczne ulegną absolutnej korekcie i zestawienia zacznie się — zgodnie z harmonogramem — na nowo. Trudno: taki klimat.

Młodzi i usportowieni oraz starsi typu podrywaczy urlopują częściowo w styczniu — lutym, ale też przynajmniej połówką zahaczają o lato. Odrobina słońca kościom się należy. Niektóre fabryki po prostu wyłączają parę na trzy, cztery tygodnie letnie i nie robią sobie kłopotu z ustawianiem planu urlopów. To jest straszny plan. Wszyscy mają argumenty, wszyscy mają rację. Nie można żądać od żadnego kierownika ani naczelnika ani dyrektora, żeby wyznaczył bezwzględnie termin i koniec. Kierownicy i naczelnicy żyją ze swymi ludźmi całe lata i nie mogą udawać, że nie rozumieją ich racji. Więc może po alfabecie? Wszyscy na A — urlop w marcu, na B — w kwietniu, a za rok od końca?

Problem jest bardzo trudny, jeszcze chyba do niego wrócimy. Wymaga wielkiego zrozumienia od wszystkich, a wielkiego taktu — od dyrektorów. Czego im na razie życzę — w dobrze rozumianym interesie własnym.

CWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 86. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam 1131.IV.68. N-1